



GRAMY O PRZYSZŁOŚĆ



OPOWIADANIA OLIMPIJSKIE
WARSZAWA 2020

GRAMY O PRZYSZŁOŚĆ



Prace
nagrodzone

w XXX Konkursie im. Jana Parandowskiego
na Opowiadania Olimpijskie

zorganizowanym
przez Polski Komitet Olimpijski

pod honorowym patronatem
Ministra Edukacji Narodowej

GRAMY O PRZYSZŁOŚĆ

opowiadania olimpijskie

pod redakcją
Magdaleny Rejf i Krzysztofa Zuchory

Warszawa 2020

Projekt graficzny okładki i ilustracja
Aga, Iga i Ada Pietrzykowskie

© Polski Komitet Olimpijski
Wybrzeże Gdyńskie 4, 01-531 Warszawa
tel. 22 56 03 700
e-mail: pkol@pkol.pl

Przygotowanie do druku
FALL
ul. Garczyńskiego 2, 31-524 Kraków
tel. 12 41 33 500
fall@fall.pl

ISBN 978-83-955370-5-9

O czym szumią stadiony

Podróż to zaproszenie do literackiego opisywania tego, co się wydarzyło na stadionie. W naszym konkursie na opowiadania olimpijskie to także *zapasy z tym, co nas otacza, a w czym bierze udział nasze ciało* (Zbigniew Herbert). To także zdziwienie, jakie się w podróży sportowej zjawia na poły filozoficznie, na poły dziecinnie. Doświadczamy świata między jawą a snem. Chciałoby się powiedzieć, że podróż to także rodzaj gry, w której przestrzeń między bramkami wypełnia z jednej strony niepewność losu, z drugiej – oczywistość.

W naszym tomie opowiadań nagrodzonych w trzydziestej edycji konkursowej tematem większości prac jest podróż sportowa w przyszłość. Obrazy zmieniają się jak krajobraz oglądany z okna pociągu. Autorzy opisują z ciekawością świat. Objawiają radość, dzięki której sport jest wiecznie młody. Narrację prowadzą dyskretnie, ale bystro obserwują rzeczywistość.

Jan Parandowski mówiłby z przejęciem o tegorocznym konkursie, w którym narracja jest prowadzona w pierwszej osobie, a forma i treść wiernie oddają osobiste doświadczenia autorów większości opowiadań. Chwaliłby pewnie odwagę w podejmowaniu tematów trudnych, kiedy w grę wchodzi na przykład uczciwość, solidarność i współdziałanie w sytuacjach konfliktowych. Głosił, że sport oferuje pisarzom podróż,

w której nie muszą obawiać się plagiatu, wystarczy że zachowają elementarną uczciwość.

Najpierw dominowały, w pierwszej dekadzie naszego konkursu, zapiski z podróży do antycznej Grecji, przypominające niekiedy obrazy z lektur szkolnych. Okazywało się już wtedy, że bardziej opłacało się opisywanie jakiegoś jednego zdarzenia opatrzonego komentarzem odautorskim, pozszywanym z kawałków własnych doświadczeń, niż gnać przed siebie z miejsca na miejsce, by zaliczyć więcej zabytków i śladów historii. Drugi etap to powiązanie naszego konkursu z autorem *Dysku olimpijskiego* znajdującego się wtedy na liście obowiązkowych lektur szkolnych. Autorzy prac konkursowych skupiali się bardziej na formie niż na treści. Niekiedy sport był jedynie „iskrą”, od której zajęła się miłość do jazdy konnej, etyka wynikała z potrzeby serca, a empatia i uczuciowa bliskość wobec osób z niepełnosprawnością określały granice także wtedy, kiedy piłka leciała w trybuny stanowiące naturalne otoczenie boiska.

W treści niektórych opowiadań pojawiały się myśli warte przypomnienia. Na przykład na pytanie, dlaczego medale są okrągłe, padła odpowiedź: bo sport jest bez kantów. Czy też uwaga dziadka zabierającego wnuczka na zawody lekkoatletyczne: – Pamiętaj, kiedy znajdziesz się na stadionie, abyś „nie biegał w poprzek bieżni”.

Tegoroczne prace konkursowe oraz te z lat wcześniejszych charakteryzują się tym, że są proste, ale za to bogate w opisach faktograficznych i dbałości o terminologię sportową.

Na podkreślenie zasługuje to, że fabułę stanowią przeważnie własne doświadczenia, uskrzydłone wyobraźnią i literacką fantazją.

Sport według tego, co zawiera nasza książka, ma przełamać poczucie obcości i wrogości między ludźmi, gdyż to, z czym się spotykamy na boisku, jest przeważnie inne, ale nie wrogie. Nasze opowiadania podążają za słowami noblistki Olgi Tokarczuk, która uważa, że tym, co powinno nas podnosić na duchu, jest „czułość”, czyli taki rodzaj wzajemnej bliskości wobec ludzi i świata, który kieruje uwagę na boisko, na którym rozgrywa się ważny fragment naszego życia.

Wybiegamy w przyszłość, ponieważ stadion olimpijski w tym roku miał być miejscem spotkania ludzi z różnych stron świata, źródłem przeżyć estetycznych i głębokich wzruszeń, ale także rozumieniem, że istnienie ojczyzna szersza niż ojczyzna własnego kraju. I mimo różnych języków, wyznań i światopoglądów możliwa jest jedna choćby wspólna rzecz, jaką właśnie jest „czułość” jako wstęp do literatury i do sportu ze względu na podobieństwo.

Takie podobieństwo między literaturą a sportem odnalazłem w opowiadaniu Kingi Pieterwas, z którego wzięłem tytuł do wstępu. Na koniec przytoczę parę zdań z tekstu Kingi: „Czuję, że stadion olimpijski w roku pandemii nie znajduje się w Tokio. Teraz stadionem jest cały świat i każdy jest uczestnikiem tej walki. Mimo że nie sportowej, to olimpijskiej. Budzi się w nas wielki duch solidarności, odpowiedzialności za innych. Nawet niewielkie gesty są teraz na wagę złotych medali”.

Warszawa, 24 maja 2020

Krzysztof Zuchora

LAUREACI

Uczniowie

szkół podstawowych
klas IV–VI

JAKUB CIESIELSKI

TYMON GOTOWICZ

NINA GRZELAK

FRANCISZEK KOTKIEWICZ

MILENA MACKUN

AMELIA MAJCZAK

ŁUCJA SZCZEPAŃSKA

LENA URBANIAK

JAKUB CIESIELSKI

Mam 12 lat i jestem uczniem szóstej klasy Szkoły Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi nr 82 im. Jana Pawła II w Warszawie. Mieszkam blisko szkoły z bratem i rodzicami. Interesuję się sportem, od siódmego roku życia trenuję judo. Często z bratem gram w badmingtona lub koszykówkę. Lubię czytać książki, podróżować, uczyć się matematyki i oczywiście grać na komputerze. Uwielbiam zwierzęta, szczególnie psy. Moje marzenia to mieć swojego ukochanego szczeniaka oraz w przyszłości zostać lekarzem.



TYMON GOTOWICZ

Mam na imię Tymon. Urodziłem się 5 października 2008 roku. Kiedy pisałem moje opowiadanie, miałem 11 lat. Mieszkam w Zamościu koło Bydgoszczy. Obecnie chodzę do klasy szóstej Szkoły Podstawowej im. Mariana Rejewskiego w Białych Błotach. Wieczorem lubię poczytać książkę, najlepiej przygodową lub z gatunku fantasy, ponieważ uspokaja mnie to i pozwala

oderwać się od rzeczywistości. Przyjemność sprawiają mi również podróże z rodziną i zabawa z moim psem – Płotką. Uwielbiam wyzwania, każdy najmniejszy sukces, nagroda czy pochwała motywują mnie do działania. Pasjonuje mnie żeglarstwo, należę do Międzyszkolnego Klubu Żeglarskiego w Żninie. Pływam głównie na Jeziorze Żnińskim Małym; jeśli pogoda dopisze, to nawet cztery razy w tygodniu. Uczy mnie pan trener Mariusz, któremu zawdzięczam swoje umiejętności. Moim drugim upodobaniem jest nauka, szczególnie przedmiotów ścisłych, takich jak: matematyka, chemia czy biologia, ponieważ kiedy dorosnę, chciałbym zostać naukowcem. Dotychczas udało mi się osiągnąć kilkanaście sukcesów w konkursach matematycznych i przyrodniczych.



NINA GRZELAK

Urodziłam się 18 listopada 2008 roku w Łodzi. Mam 12 lat. Naukę rozpoczęłam w wieku siedmiu lat i obecnie uczęszczam do klasy piątej Szkoły Podstawowej nr 1 im. Władysława Reymonta w Sieradzu. Po ukończeniu szkoły podstawowej chciałabym kontynuować naukę w liceum. Tata jest z zawodu informatykiem programistą, a mama doktorem nauk ekonomicznych.

Chętnie pogłębiam swoje zainteresowania czytelnicze. Czytanie to moja pasja od zawsze. Uwielbiam

książki przygodowe. Mogę wtedy oderwać się od szarej rzeczywistości, śledzić i przeżywać losy bohaterów oraz rozwijać wyobraźnię. Dzięki czytaniu łatwiej jest mi zrozumieć własne emocje i wyrazić myśli. Lubię też książki fantastyczne, ponieważ często ukazują losy rówieśników w nierealnym świecie.

Dla poprawienia sobie nastroju, lubię też wybrać się do kina na ciekawą adaptację filmową. Poza tym nauczyciel języka polskiego zainspirował mnie do pogłębiania wiedzy o mitologii greckiej. Dlatego obecnie interesuję się kulturą starożytnej Grecji, a w przyszłości chciałabym wybrać się tam w podróż.

W wolnych chwilach uczę się języka angielskiego i języka włoskiego. Uczęszczam na naukę gry na flecie. Odnoszę sukcesy w ogólnopolskich konkursach przedmiotowych.



FRANCISZEK KOTKIEWICZ

Nazywam się Franek Kotkiewicz, ale koledzy z drużyny i trenerzy mówią na mnie Kotek. Mam 11 lat i jestem uczniem klasy 5 Szkoły Podstawowej nr 109 im. Batalionów Chłopskich w Warszawie.

Odkąd pamiętam, interesowała mnie piłka nożna i sport, a także długie całonocne wędrówki po górach z moim tatą i spływy kajakowe.

Obecnie trenuję piłkę nożną 5 razy w tygodniu. Na pierwszy trening zabrał mnie dziadek, jak miałem

4 lata i tak mi się spодobało, że zacząłem chodzić na stadion na Łazienkowską i kibicować mojej ulubionej drużynie.

Najczęściej gram na pozycji lewego pomocnika, ale uwielbiam też stać na bramce. Pływam, jeżdżę na rowerze, a kiedy się tylko da i czas pozwoli, chodzę na dodatkowe treningi ogólnorozwojowe crossfit dla dzieci i młodzieży.

W szkole z przedmiotów najbardziej lubię wychowanie fizyczne, informatykę i historię. Interesuję się też montażem filmów i obróbką zdjęć.

Znam sporo zespołów polskiej sceny rapowej, mógłbym słuchać tej muzyki bez końca. Byłem na kilku koncertach z rodzicami i myślę, że piosenkarze grając koncert czują podobną adrenalinę i radość jak piłkarze wychodzący na boisko, aby zagrać mecz przed własną publicznością.

W przyszłości chciałbym zostać sportowcem, grać zawodowo w piłkę albo szkolić innych. A jeśli mi się nie uda, to, kto wie, może zostanę piosenkarzem. Wszystko przecież zależy od tego, co nam w sercu gra...



MILENA MACKUN

Mam 12 lat i mieszkam w Warszawie. Chodzę do Szkoły Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi nr 82 im. Jana Pawła II i jestem uczennicą klasy VI. Wprost kocham czytać książki. Moim ulubionym au-

torem jest Brandon Mull. Najbardziej ciekawią mnie książki fantastyczne. Szczególnie upodobałam sobie serię *Baśniobór* i kontynuację tej serii *Smoczą Straż*. Lubię wyobrażać sobie smoki, nimfy, wróżki i inne magiczne stworzenia. Uprawiam różne sporty. Nie wyobrażam sobie życia bez pływania. Przez kilka lat trenowałam tę dyscyplinę i jeździłam na zawody. Podczas wakacji przy każdej okazji korzystam z basenów. Czasami piszę również wiersze.

Bardzo się cieszę, że mogłam opisać historię mego brata w konkursie na opowiadanie o tematyce olimpijskiej im. Jana Parandowskiego.



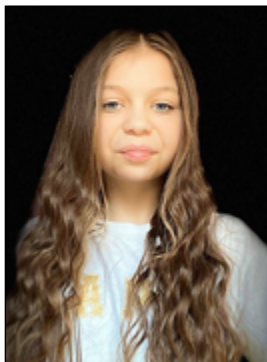
AMELIA MAJCZAK

Mam 13 lat i jestem uczennicą Szkoły Podstawowej nr 31 im. Orła Białego w Częstochowie. Moją największą pasją jest taniec, który ćwiczę od trzeciego roku życia. Darzę go wielkim zamiłowaniem, wyrażam w nim całą siebie. Każdym ruchem opowiadam historię i uwalniam siebie.

Rozwijanie pasji umożliwia mi Miejski Dom Kultury w Częstochowie, gdzie trenuję i spełniam marzenia wraz z zespołem „Antidotum”. Oprócz tego swój wolny czas poświęcam akrobatyce sportowej. Ten sport jest trudny i wymaga dużo wytrwałości i poświęcenia, lecz moje zmagania od początku wspiera instruktor „Akademii Ruchu”. To tam próbuję, przekraczam

swoje bariery i znajduję nową drogę do celu.

Gdy już przychodzi chwila oddechu, lubię marzyć i przelewać na papier świat widziany swoimi oczami. Śpiewam również w chórze szkolnym, który prowadzi jedna z najlepszych nauczycielek – moja wychowawczyni. Nikt inny nie potrafi tak wpłynąć na uczniów pozytywnym przykładem, energią i optymizmem.



Jeśli już mowa o szkole, to biorę też udział w licznych konkursach plastycznych, ponieważ uwielbiam tworzyć, rysować i malować. Bardzo interesuje mnie technika makijażu. Lubię malować na własnej twarzy nie tylko codzienne makijaże, ale również takie, które ukazują jakiś wątek, zmieniają oblicze człowieka.

Interesuje mnie również fotografia, piękno zamknięte w obiektywie i uchwycenie chwil ulotnych, kruchych, takich które nigdy się nie powtórzą.

Jeśli miałabym określić, co będę robiła za kilkanaście lat, to nie wiem i raczej nie zastanawiam się nad tym. Zobaczę, w którą stronę „pociągnie” mnie świat. Mam nadzieję, że będę szczęśliwym człowiekiem, który daje również szczęście innym.

ŁUCJA SZCZEPAŃSKA

Mam 13 lat i jestem uczennicą klasy szóstej Szkoły Podstawowej w Dobrej im. Polskich Olimpijczyków. Miejscowość, w której mieszkam, położona jest nieda-

leko Nowogardu na Pomorzu Zachodnim.

Interesuję się głównie muzyką. Potrafię grać na gitarze klasycznej i organach. Uwielbiam jeździć na rolkach, pisać krótkie opowiadania, fotografować naturę, szkicować, tańczyć oraz podróżować. W wolnym czasie chętnie zajmuję się moimi zwierzętami i podziwiam przyrodę.

Jeszcze nie wiem, kim chciałabym zostać w przyszłości, ale z pewnością będę rozwijać swoje zainteresowania i pasje.



LENA URBANIAK

Mam 12 lat i jestem rodowitą radomszczanką, uczennicą najlepszej szkoły na świecie, a mianowicie Publicznej Szkoły Podstawowej nr 9 im. Henryka Sienkiewicza w Radomsku, wychowanką wspaniałej polonistki, Pani Katarzyny Cichońskiej-Magiery, a przede wszystkim córką wspaniałych rodziców, Ewy i Roberta.

Mogę się określić dzieckiem szczęścia, ponieważ na swojej drodze spotykam samych cudownych ludzi, którzy jak do tej pory mieli niesamowity wpływ na moje życie. A ono bardzo mi się podoba ☺.

Od dziecka interesuję się literaturą, grą na gitarze i sportem. Mówiąc nieskromnie, jestem urodzonym sportowcem, któremu serce skradła jednak jazda konna. Wiatr we włosach i tupot końskich kopyt – to jest

to, co lubię najbardziej. I kopyta te zaniósł mnie wprost do finału 30. Ogólnopolskiego Konkursu im. Jana Parandowskiego na opowiadanie olimpijskie.

Pochwalę się jeszcze, że jestem także laureatką XXII Ogólnopolskiego i XXXVI Wojewódzkiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej Lipa 2018.

Nie wiem jeszcze, jak potoczy się moje życie, ale z całą pewnością literatura, sport i konie pozostaną ze mną na zawsze, a emocji, których mi dostarczają, nikt nie odbierze.



Jakub Ciesielski

Dzień, w którym pokochałem judo

To opowiadanie będzie o chłopcu, który teraz, w 2020 r., jest najlepszym zawodnikiem w swoim klubie – UKJ82 w Warszawie. Chodzi do szóstej klasy i trzy razy w tygodniu trenuje judo. Na zawodach w ubiegłym roku w 2019 stał na podium i zawsze zdobywał medale. Na Mistrzostwach Warszawy Dzieci im. Jana Ślawnickiego U12 i VI Międzynarodowym Turnieju Judo Dzieci było srebro, w IV Turnieju Judo o Puchar Burmistrza Bemowa – brąz, a na Memoriale Grzegorza Malika U12 – wielkie zwycięstwo i złoto.

To opowiadanie będzie o mnie.

– Czy zawsze lubię judo? – często zadaję sobie to pytanie.

– Nie! – odpowiadam sam sobie.

Był jednak dzień, w którym przekonałem się do niego i moje życie wywróciło się do góry nogami. Zawsze lubię sport i ruch. Dlatego mama zapisała mnie na judo. Mój brat też chodził na te treningi. I na początku to było dla mnie ważne. Potem on zrezygnował i zaczął trenować koszykówkę. Ja ćwiczyłem nadal.

Dwa razy w tygodniu miałem treningi w swojej szkole. Lubiłem ten sport, ale nie była to moja pasja. Nie chciałem startować w zawodach, chociaż trenerka mówiła, że mógłbym w judo wiele osiągnąć.

– Musisz się bardziej angażować! – ciągle słyszałem od trenerki.

A dla mnie to były zwykłe treningi, na które chodziłem, bo lubiłem kolegów, którzy też tam ćwiczyli.

Trenerka często rozmawiała ze mną, żebym wystartował w jakichś zawodach. I tak się stało. Wziąłem udział w II Lidze WOM Funny Judo w marcu 2016 roku. Bardzo się stresowałem, nie chciałem tam w ogóle jechać. Okazało się jednak, że w swojej kategorii wiekowej i wagowej byłem najlepszy. Trenerka była bardzo szczęśliwa. Ja też się cieszyłem, ale bardziej myślałem o tym, żeby nie było następnych zawodów. Nadal bardzo się bałem. Wyjście na matę i walki z różnymi przeciwnikami były dla mnie trudne. Bałem się tego, wstydziłem i ciągle myślałem o tym, że nie dam rady. Trenerka widziała te moje obawy i ciągle o tym rozmawialiśmy.

Ważne było to, że się z tego nie śmiała. Wierzyła we mnie i namawiała do kolejnych startów. Widziała, że się boję, że na treningi przychodzę z chęcią, ale na zawody już nie. Przez kolejny rok brałem udział w różnych pojedynkach. Oczywiście je wygrywałem. Były to jednak niezbyt ważne turnieje. Trenerka zachęcała mnie. Chciała, żebym wystartował w końcu w poważnych rozgrywkach i przełamał swój strach.

Te małe walki też przeżywałem. Kiedy wstawałem w sobotę lub w niedzielę i jechałem z tatą na zawody, to nie mogłem nic zjeść na śniadanie. Myślałem tylko o tym, żeby już było po nich. Czułem, że w judo jestem dobry i nawet lubiłem ten sport. Najgorsze były jednak

te spotkania z zawodnikami na macie. Gdy słyszałem o jakimś turnieju, to od razu bolał mnie brzuch i zaczynałem płakać. Wstydziłem się tego, ale tak się czułem. Trenerka jednak nie rezygnowała. I przyszedł w końcu ten dzień. Pewnego dnia podczas ćwiczeń powiedziała:

– Kuba, nadszedł czas, abys wziął udział w poważnym turnieju. Szykuj się!

– Zrobię to dla niej i dla rodziców, i niech się ode mnie odczepią – pomyślałem sobie.

Podjąłem wtedy decyzję, że wystartuję ten jeden raz i to będzie koniec judo w moim życiu.

4 grudnia 2016 r. w hali sportowej przy Obrońców Tobruku miał być ten ważny turniej. Bardzo się go bałem, ale postanowiłem wziąć udział.

Rozgrywki wystartowały rano. Moje walki rozpoczęły się wcześniej. Od rana bardzo się bałem, w domu nic nie mówiłem. Pamiętam, że podczas rozgrzewki trząsałem się jak galareta. Myślałem tylko o tym, by szybko rozpoczęły się moje walki i jeszcze szybciej się skończyły. Trenerka ciągle mnie obserwowała i mówiła:

– Kuba, jesteś w tym świetny, dasz radę! Nie poddawaj się! Będę przy każdej twojej walce!

W ogóle jej nie słuchałem, bardzo się bałem i stresowałem.

Pamiętam też, że mama rano w dniu zawodów powiedziała, że gdy wygram, to dostanę puszkę z Invizimalsami. I o tym myślałem, o tych kartach, bo wtedy je zbierałem i były dla mnie ważne. Dziś już nie pamiętam, ile stoczyłem pojedynków. Myślę teraz, że było ich sześć albo siedem. Wygrywałem je jeden po drugim. Wszystkie walki wygrałem na ippon i każda trwała mniej niż 5 sekund. Nie wierzyłem w to, co się dzieje. Po spotkaniu na macie serce waliło jak oszalałe.

Podczas jednej takiej walki uderzyłem się w mały palec u lewej nogi. Bardzo mnie to zabolalo. Zacząłem myśleć, czy go nie złamałem. Później bólu za bardzo nie czułem, bo trenerka i koledzy, którzy walczyli w innych kategoriach byli blisko mnie i krzyczeli:

– Kuba! Dasz radę, jesteś super! Jest dobrze! Tak trzymaj!

Do tej pory pamiętam te okrzyki. Pamiętam też, że czułem się bardzo dobrze, chociaż słabo mi się oddychało. Czułem radość. Byłem jak sportowiec na olimpiadzie. Bardzo mnie to ekscytowało. Wiedziałem wtedy, że przełamałem swoje słabości. To, co się czuje w takich sytuacjach, jest niemożliwe do zrozumienia i opisanie. Może to pojąć osoba, która chociaż raz coś takiego przeżyła – wystartowała w zawodach i je wygrała.

Na tym turnieju było kilkaset zawodniczek i zawodników. To był II Turniej Judo o Puchar Burmistrza Bemowa, dzielnicy Warszawy, gdzie mieszkam. To były ważne zawody, więc bardzo dużo osób wzięło w nich udział. Po wygranych walkach czekałem na dekorację medalową. Stałem obok podium i nie mogłem się doczekać, kiedy będzie moja kolej. Nadszedł wreszcie ten moment. Ktoś powiedział przez mikrofon:

– Jakub Ciesielski, zawodnik UKJ82 Warszawa – I miejsce, złoty medal!

Pamiętam ten moment. Gdy stałem na podium, byłem bardzo szczęśliwy. Wszystko było jak w filmie. Każdy mi gratulował. Tata nagrał to, a potem wysłał do babci i dziadka. Bardzo się cieszyłem. Po zejściu z podium, kiedy już mieliśmy jechać do domu, okazało się, że to jeszcze nie koniec. Zobaczyłem, że trenerka biegnie w naszą stronę. Z wielką radością krzyczała do mnie i mojego taty:

– Słuchajcie, komitet zawodów uznał Kubę za najlepszego zawodnika II Turnieju Judo o Puchar Burmistrza Bemowa!

Już nie pamiętam dokładnie, co wtedy czułem. Ale to był chyba najważniejszy moment w moim życiu. Okazało się, że wygrałem te walki w świetnym stylu i dość szybko. Dlatego przyznano mi ten tytuł. Myślałem tylko o tym, że w tych zawodach brało udział kilkaset osób i to właśnie ja byłem najlepszy. Burmistrz i kilku trenerów wręczyli mi puchar. Po raz drugi w tym dniu stanąłem na podium. Stałem na nim sam jako najlepszy zawodnik tych ważnych rozgrywek sportowych.

Ten dzień zapamiętam do końca życia. Zmienił on moje patrzenie na judo. Myślę, że gdyby nie te zawody teraz pewnie uprawiałbym inny sport. Te zawody przełamały mój strach związany z rywalizacją sportową. Zacząłem traktować judo jak coś ważnego. Od tej pory są to nie tylko ćwiczenia i spotkania z kolegami.

Można powiedzieć, że trenerka Magda też odniosła sukces. Bez jej sympatii oraz zaangażowania nie byłbym w tym miejscu, w którym teraz jestem. Pokochałem judo i dojrzałem jako zawodnik.

Tymon Gotowicz

Fascynujące regaty

Rano, gdy wstałem, od razu pobiegłem obudzić rodziców. Od dawna czekałem na dzisiejszy dzień, w którym miały odbyć się regaty, czyli wyścigi łódek. Zaraz po śniadaniu wyjechaliśmy z domu.

Moi rodzice chcieli uprawiać jakiś sport. Próbowali wielu rzeczy, ale żeglarstwo przypadło im najbardziej do gustu. Wkrótce potem zdali egzamin na żeglarszą jachtowego i zaczęli pływać na Zalewie Koronowskim. Następnie wysłali mnie na obóz żeglarski do Charzykowskich. Bardzo mi się na nim spodobało, więc rodzice zapisali mnie i mojego brata na naukę żeglarstwa.

Droga na regaty w Żninie była pełna niespodziewanych zdarzeń. Zatrzymaliśmy się w lesie, ponieważ mój brat musiał załatwić swoje sprawy. Zobaczyłem niewielką dziurkę w ziemi, a w niej leżały dwa duże rude lisy i cztery małe szare liski, które zapewne dopiero się urodziły. Zauważyłem to dopiero wtedy, kiedy się dobrze przyjrzałem. Byłem bardzo podekscytowany, ponieważ zobaczenie małych lisków to duże szczęście, szczególnie tak blisko drogi. Postanowiliśmy nie przeszkadzać zwierzątkom i ruszyliśmy dalej. Wtedy tata zaczął opowiadać o tych niezwykłych zwierzętach, mówił, że młode rodzą się ślepe, głuche i bezzęb-

ne z gęstą i puszystą, ciemną sierścią, w chwili porodu są bardzo małe i ważą około 55–110 gramów. Przestał dopiero wtedy, gdy pojawił się korek z powodu budowy S5. Kilka minut później tata skręcił w boczną uliczkę i kawałek dalej się zatrzymał. Wszyscy myśleli, że chciał włączyć nawigację czy odebrać telefon, ale on odparł, że zabrakło paliwa. A to pech! Na szczęście stacja paliw była niedaleko. Przez następne dziesięć minut musieliśmy pchać samochód przez leśną dróżkę. Wszystkim ulżyło, gdy pojazd był już zatankowany.

Kiedy dojechaliśmy, większość kolegów już tam była. Przywitaliśmy się z nimi, a potem poszliśmy zameldować się trenerowi. Moja łódka została już przywieziona, ale musiałem ją jeszcze złożyć. Ten jacht to optimist, czyli taki mały jacht dla dzieci. Posiada on kadłub, który przypomina „wanne”, a do niego przyczepia się inne części łajby.

Ważny jest też maszt, na którym zawiesza się żagiel. Optimist posiada również: ster służący do sterowania i miecz, nie do bitew rycerskich z kolegami, tylko do uzyskania oporu bocznego. Mój statek jest bardzo lekki, dlatego trudno się na nim pływa. Żegluję na nim od zeszłego sezonu.

Gdy skończyłem składać łódkę, szybko poszedłem się ciepło ubrać, ponieważ wiatr był bardzo silny. Trochę się bałem, bo bardzo nie lubiłem pływać na mocnym wietrze i falach, a poza tym zapowiadało się, że się wywrócę. Ledwo skończyłem się przebierać, kiedy ogłoszono rozpoczęcie regat. Na szczęście zdążyłem na przemowę sędziego, który długo opowiadał o zasadach *fair play*. Następnie ogłosił, że będą cztery biegi, a potem powiedział, żeby już wypływać na jezioro.

Okolice Jeziora Żnińskiego Małego wygląda przepięknie. Przy zbiorniku znajdują się małe łąki i drzew-

ka, a dalej malownicze miasteczko Żnin. Z wody widać szczyt kościoła świętego Floriana i wieżę Muzeum Ziemi Pałuckiej. Niestety, obok przebiega droga szybkiego ruchu, co czasami powoduje hałas przejeżdżających samochodów. Nie mam nic przeciwko drogom, sam wolę jeździć samochodem, ale czasem denerwuje mnie to, że nowoczesne rozwiązania tak bardzo wpływają na naturę.

Początkowe biegi to dla mnie zawsze ogromny stres. Mama zachęca mnie, bym myślał pozytywnie i np. zachwycił się okolicą, cieszył dobrą zabawą i próbował odrzucić niepokój. Tak też postanowiłem zrobić, bo już od rana miałem złe przeczucia.

Podczas pierwszego biegu myślami wróciłem do momentu, kiedy zacząłem uprawiać żeglarsstwo. Na początku bałem się wejść do łódki, ale potem jakoś się przyzwyczaiłem; jak to mówią – pierwsze koty za płoty! Gdy pierwszy raz płynąłem po jeziorze, nagle zerwał się mocny wiatr, który wywalił mi łódkę. Bardzo się przestraszyłem, ponieważ nie wiedziałem, co robić, a wiatr spychał mnie na trzciny. Wołałem z całej siły, ale nikt nie przypląwał. Zalałem się łzami i czułem, że serce mi stanęło. W mojej głowie strach walczył z nadzieją. Usiłowałem myśleć, że jednak ktoś po mnie przyplynie. Byłem coraz bliżej roślin. Postanowiłem, że muszę coś zrobić i to szybko. Wpadłem na pomysł, żeby wejść na jacht, więc chwyciłem miecz, który teraz wystawał z łódki, i wspiąłem się na wystającą ponad wodę część. Kiedy wszedłem na optimistę, ten nagle przewrócił się na drugą stronę. Udało mi się jednak odwrócić łajbę! To już coś. Następnie wszedłem do środka. Wtedy też przypląnął po mnie trener na pontonie i odholował mnie do portu. Byłem w siódmym niebie. W przystani spokojnie mogłem wylać

wodę z łódki, powoli dochodząc do siebie. Tym razem pierwszy bieg minął bez problemów.

W drugim biegu zaciekle rywalizowałem z moim bratem. Kiedy ja skręcałem w lewo, on też skręcał w lewo, a kiedy ja skręcałem w prawo, on też skręcał w prawo. W pewnym momencie wiatr tak zmienił kierunek, że mój żagiel zasłaniał wiatr jemu. Nagle Szymon skręcił, żeby mieć dostęp do szkwału, czyli mocnego wiatru, ale nie przewidział tego, że byłem na prawym halsie, więc musiał mi ustąpić. Po tym biegu był na mnie nieco zdenerwowany, bo w rywalizacji zablokowałem mu drogę.

Tak to już jest, że zawody wyzwalają wiele emocji. Z zamyślenia wyrwał mnie głośny dźwięk i szarpnięcie. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że ktoś we mnie wpłynął. Krzyknąłem, ale chłopak nie zareagował. Trudno, ja dam radę, ale o tym trzeba poinformować sędziego. Zdziwiło mnie to, że ten zawodnik się nie przestraszył. Pomyślałem: „A może to ja złamałem przepisy”, jednak szybko wyrzuciłem tę myśl z głowy, przecież dobrze znam zasady.

Po tym biegu wszyscy spłynęli na przerwę. Obok hangaru stał pan z wózkiem i rozdawał wszystkim grochówkę. Po zjedzeniu zupy powiedziałem sędziemu, że ktoś, kto prowadził łódkę z żaglem o numerze 5473, nieprzepisowo we mnie wpłynął. Kiedy to usłyszał, od razu zerknął na listę zawodników. Po chwili zawołał niejakiego Mikołaja. Gdy ten przyszedł, pośrednik w sporze zaczął pytać nas o szczegóły: gdzie to było, w którym biegu i jak płynęliśmy? Mikołaj upierał się, że to on miał prawy hals, a ja uważałem, że kłamię. Nie mieliśmy żadnych świadków. Następnie arbiter poszedł do trenerów, którzy pływali na pontonach w czasie biegów, aby zapytać, czy widzieli taką sytuację.

Na moje szczęście trener ze Świecia widział, że to ja byłem na prawym halsie. Miałem rację! Wiedziałem! Tylko po co ten chłopak tak kłamał? Mikołaj milczał. Usłyszałem, że arbiter zaczął spokojnie, ale stanowczo przypominać chłopakowi, czym jest rywalizacja. Zgadzałem się z jego słowami, nie powinno się kłamać i uprawiając jakikolwiek sport należy pragnąć szczerze, aby przeciwnik walczył na zasadzie równych szans, nie korzystać z okoliczności, które odbierają rywalowi w sposób przez niego niezawiniony szansę na zwycięstwo. Nie należy posługiwać się środkami, które chociaż nie są wyraźnie zabronione, to stwarzają oczywistą nierównowagę szans, rezygnować dobrowolnie z pewnych korzyści, jakie może przynieść zbyt ściśle stosowanie przepisów, i że zwycięstwo osiągnięte w wyniku oszustwa, błędu sędziego lub dużej niesprawiedliwości nie stanowi prawdziwej wygranej.

Po zakończeniu rozmowy Mikołaj poszedł na brzeg, miał nietęgą minę, więc postanowiłem do niego podejść. Gdy to zrobiłem, on od razu zaczął mówić:

– Przepraszam cię za to, co zrobiłem – powiedział Mikołaj.

– Dobrze, przyjmuję przeprosiny – odpowiedziałem.

– Z którego jesteś klubu? – zapytał.

– Ze Żnina, a ty?

– Ja jestem z Grudziądza.

– Chodźmy się pobawić – zaproponowałem, aby rozładować napiętą atmosferę.

– Dobry pomysł!

Następnie razem poszliśmy się bawić. Po chwili dołączył do nas mój brat, na szczęście trochę mniej już obrażony. Powiedział, że zjadł aż trzy dokładki zupy. Odpowiedziałem mu, żeby następnym razem nie jadł

tyle, bo będzie mu niedobrze. We trójkę świetnie się bawiliśmy w chowanego. Raz się schowałem pod starą łódką tak, że nikt mnie nie mógł znaleźć. Po około dwudziestu minutach zabawy sędzia ogłosił, że trzeba już wypływać, bo czas nas goni.

W trzecim biegu przypominały mi się wakacje z ubiegłego roku. Byłem wtedy w Grecji z rodzicami, bratem, kuzynką i jej rodzicami na jachcie w Zatoce Saronńskiej. Pewnego dnia płynęliśmy w nocy do portu w małym miasteczku Leonidhion. Gdy byliśmy już blisko, usłyszeliśmy muzykę i zobaczyliśmy duże światła nad osadą. Wtedy tata sprawdził w książce, że tego dnia jest tu Święto Bakłazana. Na szczęście w porcie było dużo miejsca. Po zatankowaniu wody poszliśmy do restauracji. Prowadziła ją bardzo miła Greczynka. Tak po prostu na dzień dobry dała nam cały półmisek ogórków i pomidorów, olej balsamiczny i trochę soku. Zamówiłem małe kalmary i frytki. Jedzenie było bardzo dobre.

Czwarty bieg okazał się wyjątkowo udany. Kiedy okrążałem trzecią bojkę, byłem drugi, wyprzedzał mnie tylko Beczł – kolega z mojego klubu. Jednak gdy płynęliśmy na boję numer jeden, wyprzedziłem go. Byłem podekscytowany, ponieważ nigdy wcześniej nie udało mi się go wyminąć. Płynąłem prosto do mety, czułem mocne bicie serca i drżenie rąk. Byłem już tak blisko, ale Beczł mógł mnie wyprzedzić w każdej chwili. Choć bardzo się bałem, to postanowiłem wziąć się w garść! Walczyły we mnie obawa z nadzieją. Zagryzłem wargi i jak najszybciej dopłynąłem do mety. Po chwili w uszach usłyszałem dźwięk gwizdka. Zorientowałem się, że dotarłem pierwszy. Hurra! Byłem w siódmym niebie. Odpłynąłem kawałek i stanąłem pod wiatr, żeby się zatrzymać. Po chwili dopłynął

do mnie Beczłę, a zaraz potem pan trener, obaj mi gratulowali. Czuję się dumny jak paw.

Kiedy dotarłem do portu, szybko zdjąłem ster i miecz, a następnie wpłynąłem łódką na wózek i pociągnąłem go przed hangar. Tam zdjąłem żagiel i porządnie umyłem statek. W końcu osoba, która wygrała bieg, musi mieć czystą łajbę. Wygrana wcale nie zwalnia z obowiązków, a szkoda. W międzyczasie rodzice podeszli i mnie pochwalili. Gdy skończyłem czyścić mojego optimista, zobaczyłem kolegów, którzy wyciągali swoje łódki. Trzeba było szybko wyjmować je z wody, ponieważ ci, co ukończyli bieg, od razu płynęli do przystani. Nim poszedłem się przebrać w suche ubranie, pomogłem jeszcze kolegom z ich jachtami.

Oczekiwania na wyniki zawodów trochę trwają, dlatego pobawiłem się z przyjaciółmi w naszej tajnej bazie. Wchodzi się do niej idąc jakieś dwadzieścia metrów brzegiem jeziora. Mieści się ona wokół starego drzewa, które złamało się tuż przy zbiorniku. Bawiliśmy się w dobrych, których celem było ochrona bazy, i w złych, którzy mieli za zadanie przejście bazy. Byłem w drużynie dobrych. Umówiliśmy się, że żli zaatakują za dziesięć minut, żebyśmy mieli czas na przygotowanie obrony. Moim zadaniem było nazbieranie trzciny jako mieczy i jako materiału budulcowego. Trzy minuty później zasłaniałem już trzcina główne wejście, a pięć minut przed czasem byliśmy już gotowi. Bartek wymyślił, że dojrzałe jabłka świetnie posłużą za amunicję, i że gdy wrogowie będą blisko, można potrząsnąć jabłoniem, zrzucając na nich owoce. Beczła umocnił wrota z trzciny patykami od strony bazy. Po chwili przybiegł do nas mój brat z białą flagą i oświadczył, że rodzice Wawrzynka częstują ciastem. Do starcia i tak nie doszło, bo pojawiły się wyniki.

Wszyscy byli zaskoczeni. Okazało się, że mój brat w drugim biegu miał falstart, a ja zająłem trzecie miejsce. Zaraz potem sędzia ogłosił, że już czas odebrać nagrody. Nie mogłem się doczekać, aż stanę na podium. Powoli nadchodziła ta chwila. Arbiter wyczytywał „piąte miejsce zajmuje...”, „czwarte miejsce zajmuje...”, aż w końcu powiedział „trzecie miejsce zajmuje Tymon Gotowicz”. Wszyscy bili brawo. Byłem dumny, ponieważ nigdy wcześniej nie stałem na podium. Jako nagrodę dostałem nowy plecak, no i oczywiście duży puchar za trzecie miejsce. Na koniec fotograf zrobił zdjęcie najlepszym zawodnikom.

Gdy wracaliśmy już do domu, nikt się nie odzywał, ponieważ byliśmy zmęczeni. W końcu przerwałem ciszę, mówiąc, że jak dojedziemy, to pójdę poczytać książkę. Jednak gdy mama to usłyszała, odparła, że mamy jeszcze pokój do posprzątania. Obaj z bratem krzyknęliśmy „Nie!”. Wystarczy już wrażeń na ten dzień. To były naprawdę fascynujące regaty.

Nina Grzelak

Mój wielki bohater

Siedzę, wpatrując się w okno. Mama kończy zmywanie naczyń po obiedzie. Dzisiaj zwolniła mnie z pomocy przy sprzątaniu. Za oknem jest dżdżysty dzień, trochę pada deszcz. Ale dziś jest 22 stycznia, jest zima i nie ma co się dziwić, że jest taka pogoda. Choć zima zimą, śniegu niestety nie ma. Ja lubię śnieg, ponieważ wtedy jeżdżę z rodzicami do lasu lub nad wodę i podziwiamy uroki przyrody. Szczególnie lubię jeździć do lasu. Śnieg tam pokrywa korony drzew pięknym białym puchem i wygląda to bajecznie.

Jednak nie w tym roku, kiedy często jest brzydka pogoda i nie chce się wychodzić z domu. A ja muszę. Chociaż „muszę” to dla mnie przyjemność. Dlatego że dziś jest Dzień Dziadka. Wczoraj był Dzień Babci, ale ustaliliśmy, że odwiedzę moich ukochanych dziadziusiów w Dzień Dziadka. Zaczynam malować laurkę dla nich, w tym roku będzie jedna, ale piękna. Co roku była laurka dla babci i druga dla dziadziusia, ale ze względu na bardzo dużo nauki nie mogę namalować dwóch. Kiedy jestem u nich w odwiedzinach, w ich pięknym domu z ogrodem, dziadzius zaprasza mnie do swojego gabinetu i rozmawiamy o wszystkim – o szkole i o życiu.

O dziadziusiu mogłabym bardzo długo opowiadać. Jest wielkim miłośnikiem przyrody i sportu. Teraz, kiedy jest na emeryturze, swoim pasjom poświęca mnóstwo czasu. Kiedyś był wielkim sportowcem. Babcia opowiadała, że w młodości dużo trenował. Mama mówiła, że kiedyś był bardzo silny i wysportowany. Teraz to człowiek starszy i schorowany. Często narzeka też na ból kolan i pleców.

Niejeden wieczór w naszej rodzinie upłynął na opowieściach o pasji dziadka w latach jego młodości. Babcia pokazywała mi medale i dyplomy, jakie otrzymywał na zawodach. Jest nawet dres z godłem naszego państwa, gdyż dziadzius należał do drużyny, której zawodnicy ubiegali się o prawo startu na igrzyska w Tokio w 1964 roku. Mój dziadzius bardzo się starał i dużo trenował. Uprawiał biegi długodystansowe.

Pewnego dnia wydarzyło się coś, co zmieniło całe dalsze życie dziadka. Kiedy szedł na trening, zauważył pożar. Palił się drewniany dom. Kiedyś, w dawnych czasach, w Polsce, zwłaszcza w małych miasteczkach, przeważały drewniane zabudowania. Gdy dziadzius zobaczył ten palący się dom, to nie myślał już o niczym innym, jak tylko o gaszeniu pożaru. Nie myślał o treningach, bo najważniejsze było teraz ratowanie i pomaganie innym. Wybił szybę w oknie, przez które wsunął się szybko do domu. Dach już płonął. Mimo że wydawało się, że nikogo nie ma w domu, dziadek usłyszał płacz dziecka. W tym momencie pobiegł do drugiego pokoju, a tam siedziało małe dziecko z rudym pieskiem i wołało pomoc. Dziadek widząc, że ogień przenosi się w ich stronę, wziął dziecko na ręce i wy dostał się z powrotem przez okno.

Na zewnątrz było wielu gapiów. Jednak nikt nie wszedł do środka i nie pomógł. Jedynie dziadek był

odważny. Wtedy też przypomniał sobie o rudym pie-sku, który został w domu. Oddał dziecko zgromadzo-nym tam ludziom, bo straży pożarnej jeszcze nie było. Nie namyślając się długo, postanowił tam wrócić. Za-brał pieska i skierował się do okna. Wtedy ogień był już tak wielki, że załamał się dach. Dziadek zdążył jeszcze podać psa mężczyźnie, który stał tuż przy oknie. A sam nie wyskoczył i dach zawalił się na niego. Jeden ze stra-żaków zaczął lać wodą miejsce, gdzie mógł leżeć mój ukochany dziadzius. Szybko wyrwano drzwi domu, strażacy wydobyli dziadziusia i wynieśli na zewnątrz. Pogotowie zabrało go do szpitala. Lekarze stwierdzili, że będzie żył i nie ma dużych problemów z oddycha-niem. Okazało się, że spadający dach zagiął się tak, że dziadek znalazł się w szczelinie i mógł oddychać.

Wszyscy mówili, że to Bóg czuwał nad wszystkim i pomógł mojemu dziadziusiowi. Jednak następnego dnia dziadka prześwietlono w szpitalu. Okazało się, że jeden ze spadających bali spadł dziadziusiowi na plec-y. Po tygodniu jeszcze raz poddano go badaniu i kiedy opuszczał szpital, lekarz poprosił go o rozmowę. Po-wiedział, że był bohaterem, ratując dziecko i psa, ale ze sportem – koniec. Dziadzius miał uszkodzony kręgo-słup i przy wykonywaniu trudnych, wysiłkowych cwi-czeń groziła mu kontuzja, a nawet poruszanie się na wózku inwalidzkim.

Dziadek załamał się psychicznie. To wydarze-nie pozbawiło go marzeń o dalszym uczestnictwie w wydarzeniach sportowych. Tyle miesięcy, lat cwi-czeń i poświęceń. Gdy wrócił ze szpitala, rodzice moje-go dziadka postanowili z nim poważnie porozmawiać i wytłumaczyć, że dalej nie może trenować. Babcia opowiadała, że dziadek stał się wtedy innym człowie-kiem. Często odwiedzał salę gimnastyczną, na której

tylę trenował, i oglądał po kryjomu, jak jego koledzy wciąż ćwiczą do zawodów. Nikt go nie odwiedzał, nikt nie pocieszał. Wszyscy, którzy go chwalili i klepali po ramionach oraz mówili, że pojedzie na igrzyska, teraz o nim zapomnieli.

Jednak, jak mówi babcia, najgorsze dopiero mia-ło nastąpić. Bowiem znaleźli się tacy fałszywi koledzy, którzy częstowali go papierosami i alkoholem. Jego ro-dzice nie mogli na to patrzeć. Prosimi o pomoc byłego trenera dziadka, aby z nim porozmawiał. Wszyst-ko było na nic. Dopiero wizyta kolegi Krzysia, który wstąpił do seminarium duchownego, odmieniła dziad-ka. Stopniowo, tydzień po tygodniu, dziadek zaczął się uśmiechać i stawał się bardziej pogodnym człowie-kiem, odzyskiwał pomału wiarę.

Kolejnego dnia dziadzius ubrał się w swój sporto-wy dres i zaczął znów trenować. Ćwiczył bardzo dużo, a że mieszkał niedaleko lasu, to tam właśnie ćwiczył najwięcej. Po kilku miesiącach biegał jak zawodowiec. Któregoś dnia, gdy tak biegał po lesie, przejeżdżał jakiś samochód. Nagle zatrzymał się i wyszedł z niego pe-wien mężczyzna w sportowym dresie. Mężczyzna za-czął rozmawiać z dziadziusiem. Powiedział, że jest tre-nerem biegaczy, a widząc, jak dobrze biega, zapytał, czy chciałby trenować w jego drużynie. Dziadek popatrzył na niego i na znak białego orła na jego dresie. Łzy na-płynęły mu do oczu, bo przecież o tym marzył, aby mieć takiego orła na piersi. Wtedy zgodził się na tre-nowanie w jego drużynie.

Od tej pory dziadzius zaczął jeszcze intensywniej trenować. W wyznaczonym terminie pojechał do mia-sta na stadion. Tam przywitał go człowiek spotkany w lesie, dziadzius zaczął ćwiczyć z innymi zawodni-kami. W końcu wysiłki przyniosły efekty. Najpierw

zwyciężał w swojej grupie wiekowej w regionie, a później wygrywał zawody w kraju. Aż wreszcie trener powiedział, że będzie reprezentował nasz kraj na zawodach za granicą. Wciąż bardzo dużo trenował. Babcia mówi, że całe dnie ćwiczył, od rana do nocy. W dniu wyjazdu pożegnał się z rodzicami i poleciał samolotem z całą drużyną. To były niezapomniane chwile.

W dniu zawodów przyrzekł sobie, że będzie walczył dla Polski, żeby wszyscy byli z niego dumni. I nadszedł ten moment. Był to bardzo długi, wyczerpujący bieg, walczyli zawodnicy z różnych krajów. Początkowo dziadziś biegł nie najlepiej, ale im bliżej było mety, tym przesuwał się szybciej do przodu. Pod koniec, gdy był tuż przed metą, biegł na równi z innym zawodnikiem. Dziadziś biegł bardzo szybko. Wtedy przypomniał sobie słowa kolegi Krzysia, przyszłego księdza: – Bądź skromny, ale wytrwały, gdy obierzesz cel, dąż do jego realizacji. – Te słowa dodały mu tyle sił, że wyprzedził innego zawodnika i zdobył złoty medal. Był to złoty medal dla Polski. To było to, o czym marzył przez całe życie. Wszyscy mu gratulowali i podziwiali.

Dziś dziadziś jest już starszym człowiekiem. Jest schorowany i porusza się o lasce. Odnalazł nową pasję, czyli przyrodę, jak często powiada, stosowną do jego wieku. Sam nieraz wspomina dawne czasy, gdy trenował i zdobył wymarzony medal. Choć nigdy nie mówi o bohaterskim czynie, kiedy uratował to małe dziecko i rudego pieska.

Niedawno dziadziś ten swój najważniejszy medal, który zdobył z wielkim trudem, przekazał na potrzeby Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Kończę tę opowieść o moim wspnianiałym i najukochańszym dziadziusiu, który dla mnie jest i będzie Największym Bohaterem Świata.

Franciszek Kotkiewicz

Gram całym sercem – moja droga do celu

Wszystko zaczęło się jakieś 6 lat temu. Miałem wtedy niecałe 5 lat. Oczywiście już wcześniej mój kochany dziadek Zbyszek grał ze mną w piłkę. Na początku graliśmy w pokoju, w przedpokoju, w kuchni. Nawet w łazience. Dosłownie wszędzie, gdzie się dało. Mama nie była z tego faktu zadowolona, bo ucierpiało kilka jej ulubionych kwiatków. Raz nawet skleiliśmy doniczkę, żeby mama nie zauważyła. Nie udało się, wygoniła nas na dwór. I to był początek mojej przygody z bardziej profesjonalnym futbolem, a raczej street footballlem ;-).

Grałem na podwórku, na boisku, między samochodami na osiedlu. Stawałem jako napastnik, pomoc i oczywiście jako bramkarz. Moje pierwsze ważne zwycięstwo? Ograłem pana Tomka, mojego opiekuna w przedszkolu. Byłem na bramce, a pan Tomek bezskutecznie próbował strzelić mi bramkę. Miałem 6 lat, za dwa miesiące miałem iść do pierwszej klasy. Już wtedy interesowałem się polskim i zagranicznym futbolem. Od roku chodziłem z tatą na mecze na Łazienkowską i oglądałem stołeczny klub w akcji. Jakie

to były emocje. I ten hymn Czesława Niemena. Mam jego płytę. Zresztą do dzisiaj kibicuję Legii, chodzę na mecze i gram w jej składzie jako reprezentacja rocznika i zaplecze Akademii. Jest moc.



Jeszcze nie tak dawno, bo kilka lat temu, puszczałem sobie do snu e-book o Robertcie Lewandowskim. W sumie to do dzisiaj go słucham. Historia Roberta, jego drogi do sukcesu, zmagania, wzloty i upadki, osobiste doświadczenia i dramaty skłaniają do refleksji. To samo można powiedzieć o Pelem lub Messim. Ten to jest gość. Jestem dosyć niski jak na swój wiek, mama śmieje się, że jestem jak drugi Messi, bo też biorę hormon wzrostu i jestem jak dynamit. Nie wiem, co to znaczy, chyba chodzi jej o to, że jestem szybki?

Powiem tak – cokolwiek bym robił i jak zagrał, patrzą na mnie na początku z przymrużeniem oka. Wiem, że będę musiał dwa razy ciężiej pracować, aby udowodnić innym i chyba sobie, że jestem coś wart, że warto dać mi szansę. Mama cały czas powtarza mi, że to mi się przyda potem w życiu, nawet jak nie zo-

stanę tym piłkarzem. Sport, dyscyplina i determinacja pomogą mi w przyszłości w pracy i w normalnym życiu. Nie wiem, zobaczymy, może ma rację.

Największych kibiców mam w rodzinie. Tata, siostra i oczywiście mama. Do niedawna był też mój ukochany dziadek Zbyszek, ale zmarł w zeszłym roku. Tak naprawdę to od niego wszystko się zaczęło, to on ze mną jeździł na pierwsze mecze i treningi. Teraz pewnie z góry mi kibicuje. Jeszcze nie tak dawno powtarzał „Dobrze grasz, ale pamiętaj, przede wszystkim to masz się uczyć, piłka na drugim miejscu”. Szkoda, że już go nie ma.

Najbardziej lubię, jak na mecz albo sparing jedzie ze mną mama. Tata czasem patrzy w telefon albo z kimś rozmawia, a mama każdy mecz ogląda i analizuje. Potem rozmawiamy o różnych sytuacjach, jakie miały miejsce na meczu. Jestem z niej dumny, bo wie, kiedy jest spalony. Mówi mi, że mam talent, ale trzeba pracować dalej, że to trudny sport, brutalny, dużo osób się poddaje i rezygnuje, bo jest za ciężko. Mówi, że jest to nie tak ciężkie fizycznie, jak psychicznie. Mówi też, że mam serce do tego, co robię, że jak gram, to gram całym sercem. Nie bardzo wiem, o co chodzi – co to inni nie mają serca, grają bez?



Piłka to moja pasja, sportowy styl życia całkowicie mi odpowiada. Pływanie, rower. Mama i tata trenowali też crossfit 3 lata. Mama do dzisiaj trenuje, a tata ma przerwę po operacji kolana. Często zabierali mnie na swoje treningi. Jak mogłem, to też brałem udział w zajęciach dla młodzieży. Podciąganie, ciężarki, gimnastyka, lina, przewroty, taki trening ogólnorozwojowy. Ciekawe, bo niektóre elementy z tamtych rozgrzewek wprowadzają nam dopiero teraz na piłce, a ja znam je już od kilku lat. Czasem tylko inaczej się nazywają te figury, ale to jest to samo.

Oprócz stadionu na Łazienkowej udało mi się zagrać na jeszcze innym dużym stadionie. Pojechaliśmy z inną grupą piłkarską, w której gram, do Chorzowa na mistrzostwa juniorów. Nie przeszliśmy dalej, w turnieju pocieszenia zajęliśmy 2. miejsce, ale to nieważne. Nieważne jest, że się przegrywa, tylko jak się przegrywa, jak się schodzi z boiska i z jakim nastawieniem. Ważny w takich chwilach jest też doping. My mieliśmy niesamowity. Rodzice, transparenty, banery, nawet moja mała siostra dała popis. Na zawsze zostanie to w mojej pamięci i mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie mi dane zagrać na tym pięknym stadionie. Byłem już w różnych turniejach, czasem też zdobywałem nagrody indywidualne, ale Chorzów był najlepszy. To była wyprawa, jechaliśmy tam kilkoma samochodami, spaliśmy w hotelu, tato i trenerzy zrobili nam profesjonalną odprawę i prezentację nowych strojów. Niesamowita niespodzianka. Byliśmy jak jedna wielka rodzina. Na dobre i na złe. To ostatnie szczególnie się sprawdziło, gdy odpadliśmy z półfinałów.

Dzisiaj już wiem, że piłka to taki sport, w którym ważny jest zespół i praca zespołowa. Musisz myśleć czasem za kolegów, pomagać im, być dla nich wspar-



ciem, ale ważne jest też, jak umiesz sobie sam poradzić w trudnej sytuacji, jak i czy walczysz do samego końca.

Piłka to trochę jak wyjście na wojnę. Ważna jest taktyka i przygotowanie. Sam się czuję, jakbym był na wojnie, kiedy udaje mi się ograć trzech wyższych i starszych przeciwników, którzy próbują dogonić mnie i piłkę, muszę wtedy szybko zastosować zwód i wymyślić sposób, by podać do kolegi albo oddać strzał w światło bramki. Liczą się sekundy.

Piłka i w ogóle sport wymaga wszechstronności. Należy umieć się odnaleźć w różnych sytuacjach i szybko podejmować decyzje za siebie i za drużynę. Trzeba też umieć brać na siebie odpowiedzialność i przyjmować krytykę. Zdarzają się kłótnie w zespole, czasem biorą górę emocje, ale najważniejsze jest to, czy potrafimy wyciągnąć wnioski z danej sytuacji, posłuchać trenera i iść dalej do celu. Ja idę dalej... Gdzie mnie to zaprowadzi, nie wiem, ale na pewno nie będę spędzać życia przed telewizorem. Tego mnie uczą rodzice, tego uczył mnie dziadek, to w sercu mi dalej gra.

Milena Mackun

Sport dla każdego

HISTORIA PRAWDZIWA

Oto moja rodzina: mama, tata, ja i Paweł. Niby zwykła, normalna rodzina. Tyle że mój młodszy brat półtora roku po urodzeniu zachorował i przestała mu rosnąć lewa noga, przestał też widzieć na jedno oko. W dodatku, jeszcze jako mały chłopiec, nie chciał jeść tak ważnych dla naszego organizmu warzyw i owoców. Z tego powodu musiał jechać do szpitala, gdzie leżąc w łóżku, podłączony pod kroplówki i kluty kilka razy dziennie, spędził kawał czasu. Przez krótszą nogę nie jest tak sprawny jak inne dzieci i bardzo często przegrywa w berka, chowanego czy inne zabawy ruchowe. Chodzi na wiele zajęć wspierających: rehabilitację, logopedię, hipoterapię, integrację sensoryczną. Często wścieka się, że musi jechać poćwiczyć, zamiast zostać w domu i się pobawić. Dla niego to po prostu strata czasu. To naprawdę wymaga dużo zaangażowania i pieniędzy. Ale ma też wiele zainteresowań i pasji: lubi matematykę, gra w badminton, chodzi na judo – ma wspaniałą trenerkę, która zabiera go na obozy letnie i zimowe z dziećmi sprawnymi

(w czerwcu będzie zdawał test na żółty pas). Uczęszcza na zajęcia z ceramiki, z której czasami przynosi bardzo śmieszne rzeczy zrobione przez siebie, uczy się angielskiego, uczy się pływać pod okiem instruktora, bardzo lubi zjeżdżać w zimie na nartach. Tata zrobił do jego nart specjalne podwyższenie, żeby wyrównać mu długość nóg. Wędruje po górach. W zeszłym roku jego najwyższy osiągnięty szczyt wyniósł 1400 m n.p.m i jest nim Dom Śląski. Gdyby nie brak czasu, razem z tatą weszliby na Śnieżkę. Paweł czyta dużo książek. Dzisiaj rano powiedział do mnie:

– Milena, masz rację. Książki są super. Nie dziwię się, że tyle czytasz.

W ubiegłym roku uczęszczał na zajęcia plastyczne. Teraz już nie może, bo przy takiej ilości zajęć dodatkowych po prostu nie ma czasu, a mama siły. Pawła cechuje: wytrwałość i odwaga. Jest uparty, co czasami stwarza problemy, bo nie potrafi być elastyczny i narzuca swoje zdanie. Bardzo jednak chciał chodzić na piłkę nożną. Nie boi się ludzi i potrafi z każdym nawiązywać kontakty. Niestety, moja mama uważała, że nie będzie nadążał za zdrowymi dziećmi i bała się go zapisać. Wkrótce jednak jego niepełnosprawność dała mu wstęp do bardzo wyjątkowego klubu z bardzo niepospolitymi osobami.

A zaczęło się to pewnego dnia, kiedy wracaliśmy ze szkoły. Moi rodzice lubią chodzić po górach. Latem, jesienią, a nawet zimą chodzą na wycieczki. Ale żeby pójść w góry w różnych warunkach, potrzeba odpowiedniego obuwia, więc pojechaliśmy do sklepu z odpowiednim sprzętem. Mama mierzyła buty, ale nic ciekawego nie znalazła. I już mieliśmy wychodzić, kiedy pani, która sprzedawała w sklepie, zauważyła, że jeden z butów Pawła jest z podwyższeniem. Zainteresowała

się tym i zaczęła rozmawiać z swoją mamą. Okazało się, że jej mąż prowadzi Akademię AMP Futbol Varsovia dla dzieci niepełnosprawnych i chętnie przyjmą swojego brata. Oczywiście bardzo się ucieszył, że będzie mógł chodzić do akademii piłkarskiej.

Zajęcia okazały się bezpłatne i już w następną sobotę pojechaliśmy na pierwszy trening. Paweł poznał trenera i swoją drużynę. Dzieci po amputacji lub z wadą wrodzoną ręki stoją na bramce, a dzieci po amputacji lub z wadą wrodzoną nogi biegają po boisku. Niektóre z nich mają krótszą nogę, inne nie mają tyle siły, żeby samodzielnie się poruszać, więc chodzą o kulach, mają chodziki albo specjalne aparaty na nogi. Wszyscy są niepełnosprawni, ale cieszą się, że mogą się razem spotkać i pokopać piłkę.

Na początku trener zwrócił się do Pawła.

– Paweł, jesteś pierwszy raz na treningu. Ale każdego sportowca obowiązują zasady nie tylko na boisku.

– Ale jak to? – mój brat bardzo się zdziwił.

– Prawdziwy sportowiec przestrzega reguł w szkole, w domu i na podwórku – oznajmił trener.

– No to co mam robić? Pomagać mamie? Odrabiać lekcje? – zapytał Paweł.

– Dokładnie! Oprócz tego obowiązuje nas parę innych reguł – powiedział trener. – Wszystkie są w tej książeczce – i podał ją Pawłowi.

– Czyli mam też być aktywny na lekcjach, pomagać drużynie, ćwiczyć grę w piłkę, nie poddawać się na ćwiczeniach, nawet jeśli mi nie wychodzi, słuchać trenera, zwracać uwagę na złe zachowanie swoje i kolegów – przeczytał Paweł, wertując książeczkę.

– Zuch chłopak! – odpowiedział trener i razem poszli do drużyny, która czekała na nich na boisku. Trener oznajmił:

– Słuchajcie! Mamy nowego kolegę w drużynie. To jest Paweł, od dzisiaj będzie z nami grać.

Trening był wyjątkowy, bo w tym czasie odbywały się AMP Futbol Cup 2019 i mieliśmy okazję to oglądać. Paweł z innymi dziećmi na rozpoczęcie turnieju odśpiewał hymn i trzymał flagi poszczególnych drużyn. Był na tyle odważny, że poprosił o autografy reprezentantów Polski. Następnego dnia okazało się, że Polacy wygrali cały turniej.

Na trzech kolejnych treningach mój brat świetnie dogadał się z dziećmi grającymi w AMP Futbol Varsovia. Pod koniec treningu trener zebrał młodych zawodników.

– Ogłaszam, że za dwa tygodnie weźmiemy udział w zawodach sportowych – powiedział.

– Tak! – ucieszyły się dzieci.

– Będziemy trenować częściej i ciężiej, aby lepiej przygotować się i być w dobrej formie.

– Postaramy się trenerze! – zawołali entuzjastycznie mali zawodnicy.

Na zawody mój brat pojechał bardzo podekscytowany i zadowolony. Pierwszy mecz grali ze starszymi przeciwnikami. Niestety przegrali, ale brali udział w jeszcze jednym zmaganiu. Trener cały czas ich wspierał i motywował.

– Graliście świetnie i jestem z was bardzo dumny, ale możecie dać z siebie więcej, wierzę w was – zachęcał drużynę.

– Ale trenerze – zaczął Paweł – oni byli o wiele starsi od nas, to było nie fair!

– Posłuchaj, Pawełku, nie ma tylu klubów w Polsce z dziećmi niepełnosprawnymi. I wiek nie ma tu dużego znaczenia, bardziej chodzi o stopień sprawności. Rozumiesz? – cierpliwie wytłumaczył trener.

– Chyba tak – niepewnie wymamrotał Paweł.

– To dobrze. Uwaga, następna rozgrywka za dwadzieścia minut! Przygotujcie się! Spotkamy się pod bramką!

W następnym meczu poszło im o wiele lepiej niż poprzednio i na koniec imprezy trener zapytał swoją drużynę:

– Jacy jesteśmy po tym meczu?

– Szybsi!

– Zmęczeni!

– Nie jesteśmy niedorajdami! – odpowiadali z zapałem mali tytani.

Uśmiech nie schodził im z twarzy.

– Naprawdę spisaliście się świetnie i mam dla was niespodziankę.

– Jaką? Jaką? – zaciekawiły się dzieci.

– AMP Futbol Varsovia organizuje obóz sportowy, na który wszyscy możecie pojechać! – ogłosił.

– Super! Wspaniale! Ojej! – zachwytom nie było końca.

– Ale będziemy tam z rodzicami, prawda? – nieśmiało zapytał jeden chłopczyk.

– Nie, nie będzie tam rodziców, ale zawsze będziecie mogli przyjść do nas po pomoc, szczegóły omówimy później, nie ma się czym martwić, Kuba.

– Ale dlaczego? – spytał niepewnie chłopiec bez lewej ręki.

– Musicie nauczyć się samodzielności i pomagania innym. To bardzo ważne, ale uwierzcie mi, będzie super i będziemy się świetnie bawić – zachęcił trener.

Cztery miesiące potem drużyna mojego brata została zaproszona do udziału w teledysku *Gra się do końca* zespołu De Mono. Razem z Andrzejem Krzywym

nagrali filmik o tym, że nigdy nie wolno się poddawać. Nawet jeśli na twojej drodze pojawią się przeszkody, nie wolno odpuszczać i zawsze trzeba dawać z siebie sto procent i dążyć do celu. Na tę chwilę ich piosenka ma ponad 238 tysięcy wyświetleń na YT i mój brat jest dumny, że wraz z drużyną mógł wystąpić w tym teledysku. Paweł lubi słuchać tej piosenki, bardzo go motywują jej słowa. Śpiewa:

Gra się do końca – taki świat

Gra się do końca – trzeba wstać

Inaczej przejdą po tobie

Inaczej nic tu po tobie

Gra się do końca – mimo ran

Gra się do końca bez dwóch zdań

Inaczej przejdą po tobie

Inaczej nic tu po tobie

Hmm... taki jest mój młodszy brat. A ja... czasami denerwuję się, że mama i tata bardziej zajmują się Pawłem i nie mają dla mnie czasu. Jednocześnie rozumiem, ale też mam im to za złe, że tak się dzieje. Często wracam do domu ze szkoły sama, bo mama musi zabrać Pawła na rehabilitację. Albo zostaję sama w domu, bo mama jedzie z Pawłem na hipoterapię, basen lub logopedię.

Dla Pawła sport jest bardzo ważny, mimo że wygląda jak zabawa, jest to też sposób realizowania marzeń, pokonywania barier. Dzięki temu mój brat uczy się współpracy. W AMP Futbol Varsovia nikt nie jest gorszy, wszyscy się wspierają i nikt nikomu nie mówi: „jesteś wolniejszy, jesteś słabszy”. Bo my wszyscy jesteśmy tacy sami, jesteśmy razem, jesteśmy drużyną. Jest to również rodzaj rehabilitacji i dzięki temu

Paweł lepiej radzi sobie z trudnościami codziennego życia. W teledysku De Mono widać, jak dzieci cieszą się z wygranej i jak taka niby nieważna gra w piłkę sprawia im wiele radości. Widać, że sport poprawia ich kondycję, pomaga w leczeniu. Jest lepszy od siedzenia w domu i mówienia samemu sobie, że się umie lub nie da rady, co robi wielu ludzi. Dzięki temu czasami dzieci mogą mieć większe i silniejsze poczucie wartości od niejednego sprawnego dorosłego. I gdyby nie niepełnosprawność, Paweł nie miałby okazji poznać tak wytrwałych i odważnych dzieci, tak cierpliwego trenera i tak sympatycznych ludzi z AMP Futbol Varsovia, dzięki którym może robić to, co lubi, mimo swojej niepełnosprawności.

Amelia Majczak

Taniec jest ukrytym językiem duszy...

(Marta Graham)

Odkąd tylko pamiętam, chciałam zostać tancerką. Już jako mała dziewczynka marzyłam o występach na wielkich scenach. Gdy tylko słyszałam muzykę, kołysałam się w jej rytm. Sława i bycie najlepszą w tańcu było czymś, co czułam, że chcę robić. Taniec sprawia, że czuję się wolna, wiem, że mogę więcej. Dla mnie muzyka i taniec od zawsze stanowiły jedność, moje ciało, słysząc rytm, nie potrafi trwać w bezruchu. Mój umysł otwiera się na taniec bez względu na to, gdzie jestem. Uczy mnie dyscypliny, umiejętności panowania nad swoim ciałem, a także pokazywania emocji w taki sposób, który najbardziej odzwierciedla mnie i moją duszę.

Moja historia jest o upadaniu i podnoszeniu się, o tym, że aby pójść dalej, trzeba czasami zrobić krok w tył. Wszystko, co w życiu nas spotyka, daje nam siłę do działania, sprawia, że stajemy się coraz silniejsi. Porażka w życiu także jest potrzebna, bo pozwala nam docenić radość zwycięstwa.

Poniżej przeczytacie o pasji, wielkiej miłości do tańca i wierze w to, co nieodgadnione, o sile i energii,

którą dają nam bliscy, bo rodzina jest najważniejsza, a czas z nią spędzony – bezcenny.

Przygodę z tańcem rozpoczęłam w bardzo młodym wieku. Jako zaledwie trzyletnie dziecko rodzice zapisali mnie na zajęcia baletowe. Duża sala, fortepian i ja, ubrana w śliczną różową sukieneczkę. Wszystko było tak, jak sobie wyobrażałam. Przez kilka lat uczęszczałam do szkoły baletowej. W pewnym momencie poczułam, że chcę spróbować czegoś innego, nieznanego, iść dalej zgodnie z sobą i z tym, co podpowiadało mi serce.

Podczas poszukiwań natrafiłam na taniec towarzyski. Stało się to za sprawą mojej koleżanki, która była wielką pasjonatką tego rodzaju tańca. Dołączyłam do grupy, w której ona już uczęszczała na treningi. Styl tego tańca początkowo był mi bliski, lecz później zaczęłam odczuwać potrzebę zmiany, serce kazało mi szukać dalej.

Nie byłam zdecydowana, czego tak naprawdę chcę. Życie to sztuka szukania, podążania za marzeniami, które czasami są obecne tylko w naszych głowach. Szukając, zdecydowałam się na taniec nowoczesny. Od razu poczułam magię, która niczym magnes przyciągnęła nas do siebie.

Jeśli istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, to właśnie była ona. Niedługo potem zostałam znowu postawiona przed próbą charakteru i mojej miłości do tańca. Zostałam bez żadnych zajęć ze względu na to, że pani prowadząca treningi zmuszona była je przerwać z powodu stanu zdrowia. Wypatrując zespołu, w którym mogłabym tańczyć, trafiłam do studia, gdzie odbywały się zajęcia z jazzu, modernu oraz gimnastyki. Właściwie to tam nauczyłam się podstaw i bardziej zawansowanych elementów. Tak naprawdę w tym miej-

scu rozpoczęłam prawdziwą rolę tancerki. Poczułam adrenalinę, energię, radość zwycięstwa i smak porażki. Po pierwszym roku wszystko było super, ale w czasie kolejnego roku ćwiczeń w zespole napotkałam pewne komplikacje.

Poczułam, że stoję w miejscu. Rozwój poziomu zawansowania był znikomy, po prostu zatrzymałam się, nie „szłam dalej”. Kolejna trudna decyzja, która zawsze kończy pewien etap życia, ale zaczyna kolejny, zamyka pewne drzwi, ale otwiera następne. Życie stawia nam po drodze próby, każe nam decydować, rezygnować, ale nigdy nie chce, abyśmy stali w miejscu. Zmiany są potrzebne.

To dzięki nim dostajemy wiatr w skrzydła, nasze perspektywy się poszerzają. Zmiana zespołu na inny była moim kolejnym życiowym przystankiem. To w nim poczułam się bardziej ważna, zauważona przez panią instruktor. Poczułam, że to moje miejsce na ziemi, że to tutaj będę spełniać marzenia. Moje dążenia zaczęły stawać się realnymi klockami, z których powoli budowałam mój „taneczny świat”. Wierzyłam, że ciężką pracą mogę zajść daleko. Kolejne dni, tygodnie sprawiały, że czułam się coraz bardziej pewnie, moje „skrzydła” powoli rozwijały się.

Nadeszło lato, a w związku z tym czas, w którym miałam wyjechać na obóz. Zamieszkaliśmy w przepięknym hotelu z widokiem na Beskid Żywiecki. Piękne zachody słońca, cudowna pogoda, basen i czas bez troski to coś, czego było mi potrzeba. Były to niezwykle kolonie. Miałam wziąć udział w Festiwalu Tańca.

Każdego roku od dwunastu lat do Wisły zjeżdżają się zespoły z całej Polski, aby przez sześć dni tworzyć choreografię, a siódmego, czyli ostatniego dnia pobytu w przepięknej scenerii amfiteatru zmierzyć się ze sobą.

Czekałam na te chwile od wielu dni. Ale życie bywa przewrotne. Na treningach zaczęłam borykać się z bólem kolana. Ból pojawiał się przy mocniejszym skoku, zdecydowanym ruchu. Zlekceważyłam to, chęć wzięcia udziału w festiwalu była tak ogromna, że ból zszedł na dalszy plan.

W dzień przyjazdu do hotelu, po pierwszym treningu początkowo wszystko było dobrze. Drugi dzień to dużo więcej treningów, bardziej męczących, intensywnych. Na jednych z zajęć podczas kręcenia piruetu niefortunnie upadłam na prawe kolano, ból, którego doznałam, był okropny. W ten sam dzień nie udałam się już na trening. Pani rehabilitantka opatrzyła mi nogę. Podczas chodzenia wszystko było dobrze, więc wzięłam udział w popołudniowym treningu.

Jednak komplikacje napotkałam już przy pierwszym skoku, ból powrócił z dużo większym nasileniem. Wtedy żarty się skończyły. Próbując się podnieść, nie byłam w stanie zrobić tego sama. Wraz z panią instruktorem pojechaliśmy do lekarza. Doktor oświadczył, że sytuacja jest bardzo poważna. Jeśli będę dalej ćwiczyć, prawdopodobnie może dojść do pogorszenia stanu mojego kolana. Wiadomość była jednoznaczna z tym, że treningi są wyraźnie zakazane, przynajmniej na czas leczenia. Diagnoza była dla mnie szokiem, nie potrafiłam pozbierać myśli. Mój świat rozpadł się na milion kawałków. Marzenia oddaliły się, a wiara w to, co do tej pory osiągnęłam, tliła się z tyłu mojej głowy niczym wątyły płomyk.

Minęło kilka dni, które w potworny sposób ciągnęły się od świtu, aż do późnych godzin nocnych. Spędzałam je patrząc na tańczące dziewczyny, treningi i układy, które powstawały. Nadszedł czas konkursu, musiałam podjąć decyzję, czy w nim wystąpię. Noga nie była

w pełni sprawna, bolała. Ale moja determinacja i chęć spełnienia marzeń były tak silne, że podjęłam decyzję zatańczenia na deskach sceny amfiteatru. Wybór był bardzo trudny, bo ta decyzja mogła zaważyć na całym moim życiu. W końcu zdecydowałam, że nie mogę zawieść samej siebie. Lekarz dobrze zabezpieczył moje kolano (chyba widział moje marzenia w oczach).

Bardzo chciałam, żeby wszystko poszło pomyślnie, a moja silna wola zwyciężyła.

Kiedy stałam już na scenie w całym anturażu, gotowa do działania, spojrzałam w niebo i zobaczyłam tam moją babcię, która zmarła 3 lata temu na raka. To Ona zawsze dodawała mi siły, wierzyła we mnie. Nawet gdy była chora, zawsze mówiła, że „będzie dobrze”. Jestem przekonana, że w ten piękny, słoneczny dzień trzymała za mnie kciuki. Muzyka porwała mnie i moje ciało. Czułam, że daję z siebie wszystko, że kolano to tylko mały problem, który jestem w stanie opanować. Gdy skończyłam, publiczność wstała, biła brawo. Spojrzałam w niebo i powiedziałam: – Babciu, to dla Ciebie, będzie dobrze.

Oczekując na wyniki, stresowałam się, chociaż już nie tak bardzo, bo dla siebie i tak już wygrałam. Przez dłuższą chwilę moje nazwisko nie padało z ust prowadzącego konkurs.

Nagle siedząc i czekając na werdykt, usłyszałam swoje imię i nazwisko. W pierwszym momencie pomyślałam, że nastąpiła pomyłka. Okazało się, że to, co przed sekundą usłyszałam, jest prawdą: zajęłam pierwsze miejsce. Zachwyt, szczęście, podekscytowanie, łzy i mnóstwo emocji towarzyszyło mi podczas tej przepięknej chwili. Czułam się niesamowicie! Warto czasem podjąć ryzyko, przeskoczyć „przepaść w swojej głowie”, aby potem po drugiej stronie stać się zwycięzcą.

Łucja Szczepańska

Goniąc marzenia

Zaczęła się jesień. Ósmoklasiści z całej Polski przygotowywali się do zmiany szkoły podstawowej na liceum lub technikum. W małym miasteczku mieszkał pewien chłopak. Nazywał się Mateusz. Miał spory problem. Jeden z jego genów źle się wykształcił, przez co był inny od reszty. Był wyższy od rówieśników. Miał dużo ponad dwa metry. Wiele osób prześladowało go i uważało za dziwadło. W końcu sam zaczął tak siebie postrzegać. Do czasu, gdy całe jego życie się zmieniło. Marzył, że zostanie kiedyś mistrzem olimpijskim. Nie wiedział, że już niedługo jego marzenie się spełni.

Mateusz obudził się z pewnym niepokojem. Czuł, że coś jest nie tak.

– Może to stres przed pierwszym dniem w nowej szkole? Nie ma się co bać. Na pewno wszystko będzie dobrze – rzekł sam do siebie i wyszedł z pokoju.

– Mateusz! Chodź na śniadanie! – zawołała mama.

– Już biegnę! – odpowiedział chłopiec.

– Wiesz, że cię kocham synku i dlatego martwię się o ciebie. Może poczekasz z tą nową szkołą? Na pewno dasz sobie radę z dziećmi? A co, jak będą się śmiać? Wiesz, że jesteś inny – zamartwiała się pani Zofia.

– Nie martw się. Dam sobie radę. – odparł Mateusz, po czym wziął kanapkę i pobiegł do pokoju, by się ubrać.

Po jakimś czasie wszedł do autobusu i pojechał do szkoły. Wysiadłszy z pojazdu, uważnie przyglądał się nowemu miejscu. Liceum było dość duże, otoczone murem. Kiedy chłopak przekroczył próg, od razu usłyszał ciche chichoty zza pleców. Ludzie przechodzący obok niego przyglądali mu się uważnie, niektórzy zatrzymywali się, aby zmierzyć go wzrokiem, a inni po prostu śmiali się.

– Ej, dziwaku! Co ty, wieżowiec udajesz?! – krzyknął jakiś chłopak.

– Zaraz King Konga przewyższysz! – powiedział ktoś inny.

Mateusz był przyzwyczajony do takich zachowań. Było mu przykro, ale udawał obojętność.

Nagle na korytarzu rozległ się dźwięk dzwonka na lekcję. Gdy wszyscy usiedli w ławkach, pani zaczęła pisać temat na tablicy. Mateusz ze skupieniem notował, gdy nagle usłyszał szepty. Ktoś wymówił jego imię. Powoli odwrócił się w tamtą stronę i nagle poczuł delikatne uderzenie w twarz. Odruchowo zamknął oczy, a gdy je otworzył, zobaczył dwóch chłopców śmiejących się z niego i rzucających w jego stronę kulkami z papieru.

Następne dwa dni minęły podobnie. Kolejny tydzień był gorszy. Dzieciaki z jego klasy porozwieszały ulotki z napisem „Mateusz Serdel zaraz zostanie rekordzistą! Będzie najwyższym człowiekiem w dziejach ludzkości!”. Mateusz nie widział w tym nic śmiesznego. Jakieś dziewczyny wrzuciły jego zdjęcia do Internetu i napisały pod nimi obraźliwe komentarze. Nikt nie myślał o tym, co on teraz przeżywa. Przez miesiąc

ludzie z liceum naśmiewali się z niego, lecz pewnego dnia stało się coś dziwnego. Trzech chłopców podeszło do niego.

– Hej! Co tam? – spytał jeden z nich.

– Po co pytasz? Znowu chcesz się ze mnie naśmiewać? – zapytał Mateusz.

– Słuchaj. Mamy dość tego, że wszyscy cię gnębią. Chcemy ci zrobić niespodziankę, tylko musisz nam powiedzieć, jakie masz marzenie – oznajmił drugi.

Mateusz był zakłopotany. Nie wiedział, co o tym sądzić. Pomyślał, że może mówią prawdę.

– Chciałbym wygrać olimpiadę. Interesuję się ludźmi, którzy startują w tego typu zawodach – odpowiedział.

– To wspaniale! Czekaj na nas w opuszczonej kamienicy o szesnastej – powiedział trzeci i wszyscy odeszli do szatni.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie Mateusz przyszedł do budynku. Nikogo tam nie widział. W środku było ciemno. Nagle usłyszał, że drzwi zamykają się z hukiem. Podbiegł do nich i zaczął je szarpać, aby się otworzyły, ale nie udało mu się. Zza drzwi słychać było śmiechy.

– Twoje marzenie się spełniło! Wygrałeś zawody na największego naiwniaka w szkole! – krzyknął ktoś z drugiej strony i zaśmiał się głośno.

Po jakimś czasie śmiechy ucichły. Mateusz załamał się. Nie mógł uwierzyć, że dzieci tak go potraktowały. Szarpnął za klamkę. Drzwi nareszcie się otworzyły i wybiegł z kamienicy. Nie poszedł do domu. Łzy spływały po jego policzkach. Cała złość, którą dusił w sobie przez ten miesiąc, teraz wybuchła. Stracił chęć życia. Przechodząc obok przejazdu kolejowego, zatrzymał się. Wpatrywał się w niego przez kilka chwil, po czym

ruszył z miejsca i poszedł w stronę torów. Obejrzał się, by sprawdzić czy nikt go nie widzi. W pobliżu nikogo nie było. Chłopak przystanął i znów patrzył na torowisko. Zastanawiał się nad czymś... Jeszcze raz obejrzał się, czy na pewno jest sam. Nikogo nie zauważył. Spojrzał na swoje odbicie w kałuży obok i wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę. W pewnym momencie z transu wybudził go głos mężczyzny.

– Pociąg przyjeżdża o siedemnastej dwadzieścia – powiedział.

– Ja nigdzie nie jadę proszę pana – odpowiedział Mateusz.

– Wiem dziecko. Wiem też, co zamierzasz – odparł.

Mężczyzna siedział na ławce. Pojawił się znikąd.

– Nie chce mnie pan powstrzymać? – zapytał ze zdziwieniem chłopak.

– Dlaczego miałbym cię zatrzymywać? Jeśli jesteś pewien, że to ma ci pomóc i jeśli dzięki temu uwolnisz się od zmartwień, to nie mam zamiaru cię powstrzymywać. Nazywam się Michał – stwierdził ze spokojem i wyciągnął rękę w stronę Mateusza.

Chłopak był zdezorientowany. Podał rękę panu Michałowi, przedstawił się i usiadł obok niego.

– Nie martw się swoim wzrostem. Niektórzy ludzie potraktowaliby to jako atut. Wiele gwiazd sportu marzyłoby o tak długich nogach – przekonywał pan Michał.

– Mówi pan prawdę? – zapytał chłopiec.

– A jak myślisz? Wiesz co? Chodź ze mną – zaproponował pan Michał.

Mateusz poszedł za nowym znajomym. Maszerowali przez dłuższą chwilę. W końcu doszli do wielkiego toru.

– Możesz wykorzystać swoje rozmiary i zobaczyć, jak szybko uda ci się pobiec. Zrób trzy kółka dookoła wyznaczonego toru – nakazał Michał.

– Co mi to da? – spytał zaskoczony Mateusz.

– To zależy, jak do tego podejdziesz – odparł dziwnym tonem mężczyzna i wyciągnął z kieszeni stoper.

Mateusz stanął na torze, a na komendę „Start!” zaczął biec. W bardzo krótkim czasie pokonał ten dystans.

– Jak mi poszło? – zapytał zdyszany.

– Pobiegłeś niesamowicie szybko. Pokonałeś trzy kółka w siedem minut i piętnaście sekund. Jestem pod wrażeniem – powiedział Michał.

– Słuchaj, mam propozycję. Za dwa dni są zawody dla dzieci. Jest tam konkurencja idealna dla ciebie – bieg. Dzieci od czternastu do szesnastu lat będą się ścigać. Kto pierwszy przekroczy linię mety, ten wygra – zaproponował pan Michał.

– Nie wiem, czy moja mama się zgodzi – powiedział chłopak.

– Ja ją namówię, ale ważne jest to, żebyś ty się zgodził – odpowiedział mężczyzna.

– Więc się zgadzam – powiedział nieśmiało Mateusz.

Dwa dni później chłopiec zaczął się stresować. Przez cały czas ciężko trenował.

– Gotowy? – zapytał Michał.

– Stresuję się, ale jestem gotowy – niepewnie powiedział Mateusz.

– Wsiadaj do auta. Jeśli teraz wyjedziemy, będziesz miał czas poznać swoich przeciwników – stwierdził i pojechali.

Gdy przyjechali, na miejscu zastali już kilka osób. Mateusz zdążył poznać wszystkich swoich rywali. Naj-

bardziej zaintrygował go Adam. Był to chłopak bardzo niemiły, zarozumiały i pewny zwycięstwa, lecz widok Mateusza wyraźnie go zaniepokoił.

– Trenerze. Ten Mateusz może być dla mnie konkurencją. Ja muszę wygrać. Sam tak mówiłeś, więc teraz powiedz mi, co robić – powiedział Adam do swojego trenera.

– Masz jeszcze te tabletki, które zażywałeś ostatnim razem? Weź podwójną dawkę. Nic ci się nie stanie, a sił będziesz miał więcej – nakazał trener.

Jakiś czas później wszyscy zawodnicy stanęli na linii startu. Mateusz cały się trząsł. Zamknął oczy, żeby się uspokoić. Zobaczył wtedy swoje wspomnienia. Przed oczami przeleciały mu te wszystkie wyzwiska i ludzie, którzy się z niego śmiali. W końcu otworzył oczy i pobiegł. Wyprzedził wszystkich. Publiczność była pewna jego zwycięstwa, gdy nagle zatrzymał się. Spojrzał za siebie i ujrzał Adama, który leżał na bieżni i był prawie nieprzytomny. Stał tak kilka sekund. Bił się z myślami, aż w końcu pobiegł w stronę rywala. Ukłękął przy nim.

– Co się stało?! Wstawaj! Szybko! – krzyczał do chłopca.

– Za dużo t... tabletek – wyjąkał Adam.

Mateusz nie zastanawiając się długo, wziął go na ręce i zaczął biec.

– Nie zostawię cię tak. Przebiegniemy to razem – oznajmił Mateusz i biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy.

Wyprzedził jednego zawodnika, następnie drugiego i trzeciego, aż w końcu zaczął ścigać się z chłopakiem, który biegł jako pierwszy. Już brakowało mu sił. Trzymał Adama na rękach i dawał z siebie wszystko. Czuł, że traci siły, ale wtedy na trybunach zobaczył pana Michała, który Stał i krzyczał: „Nie poddawaj

się!”. Mateusz spojrział przed siebie. Dokładnie na przeciwko niego była linia mety.

– Dam radę. Jestem silny – powiedział do siebie i pobiegł jeszcze szybciej niż wcześniej.

W końcu minął ostatniego zawodnika i ukończył bieg. Widownia klaskała, krzyczała, gratulowała. Kilka osób podniosło Mateusza na rękach.

– Panie Michale! Panie Michale! – wołał chłopak, ale nigdzie nie mógł go znaleźć.

– Przepraszam, czy widział pan pana Michała? – Mateusz zapytał trenera Adama.

– Nie znam nikogo takiego, przykro mi – odpowiedział trener i pobiegł do swojego podopiecznego.

Pan Michał zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił, a Mateusz już do końca życia był pewny siebie i stwierdził, że wysoki wzrost nie jest jego wadą.

Lena Urbaniak

Od miłości do koni po zwycięstwo olimpijskie

Mam dopiero 12 lat, lecz odkąd pamiętam, zawsze kochałam konie. Zachwycam się ich pięknem, dostojnością, mądrością. Zawsze budziły we mnie respekt, ale nigdy strach. Od małego dziecka marzyłam o tym, że jeżdżę konno, opiekuję się końmi, przyjaźnię się z nimi. Oglądałam bajki z końmi w rolach głównych, otaczałam się pluszowymi maskotkami, miałam pamiętnik z wizerunkiem konia. Wszystkie części filmu pt. *Flicka* znam na pamięć. Miłość tę zaczęli zauważać moi rodzice. Nigdy nie śmiali się z moich fantazji, nie zniechęcali, a wręcz przeciwnie, dzięki nim zapoczątkowałam i rozwinęłam swoją pasję – jazdę konną.

Miałam trzy lata, kiedy po raz pierwszy wsiałam na grzbiet konia. Może to zbyt szumnie powiedzieć, więc sprecyzuję – kucyka. Było to na wycieczce z przedszkola. Na Mikołaja odwiedziliśmy stadnię koni w pobliżu mojej miejscowości. Dla chętnych były przejażdżki na kucyku, ale chętnych brakowało! Poza mną, oczywiście! Ktoś by pomyślał, że to niemożliwe jest, abym pamiętała odczucia, które mi

wtedy towarzyszyły, ale tak właśnie jest. Serce biło mi jak młotem, a uśmiech nie schodził mi z twarzy. Zrobiłam parę kółek na lonży, ale to wystarczyło, aby wiedzieć, że chcę jeździć konno. Do dziś z rozczuleniem oglądam zdjęcia, które zrobił mi wtedy mój tato. Mała, pyzata dziewczynka z rumieńcami na twarzy i miłością do koni w oczach. Uwielbiam te zdjęcia.

Od tamtego czasu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Rodzice znaleźli mi stajnię, w której rozpoczęłam naukę jazdy konnej. Tak – 4 lata i zaczęłam jeździć konno! Oczywiście nie była to samodzielna jazda, tylko na lonży, 30 minut kilka razy w tygodniu. Ale mogłam siedzieć na końskim grzbiecie, przytulać się do końskiej grzywy, zaprzyjaźnić się z Melką – moim pierwszym wierzchowcem rasy konik polski.

Po kilku latach dostałam zaszczytu samodzielnego przygotowania konia do jazdy i jego pielęgnacji. Tak, tak, bo jazda konna to nie tylko wiatr we włosach, lecz czyszczenie sierści konia, kopyt, czesanie grzywy, siodłanie, sprzątanie obornika z końskich boksów. Poznałam, jak ciężka to praca i jak ważna dla zbudowania ze zwierzęciem więzi. Oczywiście były chwile strachu, kiedy koń szarpał kopyta i nie umiałam sobie z nim poradzić. Ale nie zniechęcałam się i walczyłam dalej. Bardzo ważnym w całej mojej przygodzie z końmi była też wiedza na ich temat. Prawdziwy jeździec musi znać budowę koni, rasy, ich upodobania, żywienie, choroby, na które narażone są konie. Miałam w tym zakresie dobrych nauczycieli: moje instruktorki, panią Olę i panią Asię, oraz mojego tatę, który jest weterynarzem.

Przez wiele lat regularnie ćwiczyłam swoje umiejętności. Od lonży po samodzielną jazdę na maneżu, wyjazdy w teren i w końcu moje ulubione skoki przez przeszkody.

Bardzo dużą rolę odegrał jeden z obozów jeździeckich, na którym byłam. Prowadzony przez wykwalifikowanych instruktorów Polskiego Związku Jeździectwa dał mi nowe umiejętności i większą wiedzę o koniach. Były też ciężkie chwile, kiedy koń o imieniu Playboy zrzucił mnie ze swojego grzbietu. Byłam przestraszona i załamana. Zastanawiałam się, dlaczego to zrobił – czy mnie nie lubi czy nie potrafię jeździć?

Na porannym treningu przydzielono mi do jazdy najpiękniejszego konia w stadninie. Byłam bardzo szczęśliwa. Udałam się na maneż z przeszkodami, dosiadłam mojego rumaka i zaczęłam trening. Chciałam wszystko wykonać jak najlepiej, bo uważałam, że potrafię w jeździe konnej już prawie wszystko. Kątem oka widziałam wiele koleżanek, które mnie obserwowały. Pomyślałam sobie: „Muszę im pokazać, co potrafię”. Chciałam im zaimponować. Zaczęłam coraz szybciej galopować, zbliżając się do krzyżaka. Nagle, tuż przed przeszkodą, mój koń zatrzymał się tak gwałtownie, że zawisłam przy jego boku z jedną nogą na grzbiecie. Playboy nie zatrzymał się jednak, lecz przeciągnął mnie prawie po ziemi dookoła maneżu. Byłam przerażona i krzyczałam: „Ratunku!!! Zatrzymajcie go!!!”.

Lecz on nie słuchał. Dopiero moja instruktorka okiełznała bestię. Obolała i zawstydzona swoją nieostrożnością wróciłam do pokoju.

Dzwoniłam do mamy i płakałam. Nie chciałam już nigdy jeździć na Playboju, ale moja mama powiedziała:

– Nie poddawaj się, tylko próbuj dalej! Jeśli pokonasz lęk, koń zobaczy, że nie boisz się, że ty nim rządzisz i więcej nie będzie próbował z tobą walczyć. Pamiętaj przy tym, że w każdej chwili jazdy musisz być ostrożna i skupiona, by panować nad koniem.

Pamiętam, że płakałam prawie całą noc, a gdy udało mi się zasnąć, śniło mi się, że Playboy cały czas zrzuca mnie z grzbietu, a wszyscy się ze mnie śmieją. Ze strachem w oczach szłam na kolejną jazdę. Siodłając go w boksie, postanowiłam z nim porozmawiać:

– Słuchaj, bracie! Nie wygrasz ze mną. Albo się zaprzyjaźnimy, albo nigdy nie dostaniesz ode mnie smakołyka – powiedziałam, próbując przekupić go marchewką.

I chyba zadziało. Playboy już nie zrzucił mnie z grzbietu i stał się moim ulubionym koniem. W tym momencie zadziało końskie przysłowie, że nie ma jeźdźcy, który nie spadłby z konia. A co do moich koleżanek, żadna się ze mnie nie śmiała. Okazało się, że wszystkie mnie wspierały i pocieszały, że mogę na nich polegać nawet w chwilach porażki.

Mam więc to już za sobą. Nauczyło mnie to jednak respektu do tych zwierząt, tego, że nigdy nie możemy być zbyt pewni siebie, że zawsze musimy zachowywać ostrożność, bo to tylko zwierzę. I w dodatku wyczuwa nasz strach, brawurę, które mogą okazać się zgubne.

Na obozie tym zdobyłam pierwszą swoją odznakę – *Jeźdźcę konno*. I choć potem pojawiły się kolejne, ta jest dla mnie najbardziej wartościowa. Nigdy nie zapomnę emocji związanych z egzaminem. Przyjechali na niego moi rodzice. Tuż przed rozpoczęciem tato powiedział mi, że zawsze pada pytanie o kolano konia i pokazał mi, gdzie ono się znajduje (wbrew pozorom nie tam, gdzie myślicie). I co stało się na egzaminie? Oczywiście zamiast kolana pokazałam łokieć. Ale plama! Nie wpłynęło to na wynik egzaminu, ale to, gdzie koń ma kolano, zapamiętam na zawsze.

Po obozie bardzo rozwinęłam się, jeśli chodzi o samodzielną jazdę. Częste wyjazdy w teren, wiatr

we włosach, tylko ja i koń, to jest to, co sprawia mi przyjemność. Zapominam wtedy o problemach, stresie i oddaję się obcowaniu z koniem i przyrodą.

Ale moją wielką pasją są skoki. Czuję wtedy wzrost adrenaliny. Coraz wyższe, bardziej skomplikowane przeszkody. Wymaga to ode mnie skupienia i myślenia. Nie mogę sobie pozwolić na roztargnienie.

Galop i skok przez stacjonatę. Udało się! To jest to, co lubię najbardziej!

Swoją przyszłość wiąże z końmi. Nie ma opcji, abym zrezygnowała. Mam nawet nieśmiałą wizję. Jestem ubrana w piękny biały strój konkursowy, elegancji toczek. Dosiadam pięknego araba z zaplecioną starannie grzywą i wyruszam na maneż z przeszkodami. Wokół na trybunach tysiące ludzi. Jadę płynnie i przeskakuję nienagannie przeszkodę za przeszkodą. Spoglądam przed siebie i widzę pięć splecionych ze sobą kół w pięciu różnych kolorach: niebieskim, żółtym, czarnym, zielonym i czerwonym. To symbol olimpijski. Olimpiada i ja, tam jestem razem z wielkimi sportowcami z pięciu kontynentów!!!

Na razie to marzenie, ale moje plany zwykle się spełniają. Wiem, że na start na takiej imprezie trzeba zasłużyć ciężką pracą. Najpierw lokalne zawody, potem coraz wyższe rangą, a na końcu może i olimpiada. Mam jeszcze na to czas, a więc mogę doskonalić swoje umiejętności i przeć do przodu, wytyczając sobie coraz to nowe cele, bijąc nowe rekordy, które może nie są rekordami świata ani olimpijskimi, ale od czegoś trzeba przecież zacząć. I nieważne, czy jeździsz w małej stajni czy znanej stadninie, czy trenuje cię pani Ola czy znany instruktor, zdobywca trofeów międzynarodowych. Jeśli masz w sobie pasję, jeśli kochasz to, co robisz, i jeśli twoich marzeń nikt nie zniszczy, a wręcz

przeciwnie, pomoże ci w ich realizacji, możesz osiągnąć bardzo wiele.

Już teraz, schodząc z konia, kłaniam się publiczności na trybunach, słyszę jej oklaski, a w oddali widzę płonący znicz olimpijski. *Citius, Altius, Fortius* – Szybciej, Wyżej, Mocniej – to również moje motto życiowe.

LAUREACI

Uczniowie

szkół podstawowych
klas VII–VIII

ZOFIA ARTYMIAK

BARTŁOMIEJ KLAMUT

KINGA KRAWIEC

MAKSYMILIAN KULIG

MARTA OBRĘBSKA

KINGA PIETERWAS

KAROLINA STEFANIAK

DOMINIKA SZMIDT

ROZALIA WOJTOWICZ

ZOFIA ARTYMIAK

Jestem uczennicą ósmej klasy Szkoły Podstawowej nr 51 im. Jana Pawła II w Lublinie.

Interesuję się muzyką, teatrem i jazdą konną. Od kiedy pamiętam, uwielbiałam marzyć i tworzyć w swojej głowie prawdziwie książkowe historie. Dzięki nim rzeczywistość dookoła mnie wydaje się dużo ciekawsza. Nie sądziłam jednak, że kiedykolwiek uda mi się przenieść je na papier. Jestem najszcześniejsza, gdy ludzie, czytając je, mogą choć na chwilę wyruszyć w podróż do świata, w którym wszystkie ich problemy stają się odległe.

Godziny poświęcone lekturze uważam za najwspanialszy i najwartościowszy czas. Historie odkrywane na kartkach papieru zostają ze mną na długo, czasami nawet stają się częścią mnie. Każdą książkę traktuję jako nowy, wspaniały świat, który tylko czeka na odkrycie.

W przyszłości chcę być szczęśliwa. Nie wiem jeszcze, kim chciałabym zostać, ale wiem, że kiedy podejmę decyzję, będę wykonywać swój zawód z pasją.

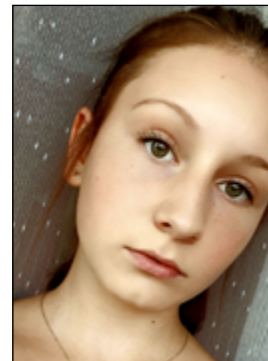


BARTŁOMIEJ KLAMUT

Mam 15 lat. Mieszkam w Krośnie. Chodzę do ósmej klasy Szkoły Podstawowej nr 14 z Oddziałami Sportowymi i Integracyjnymi im. Polskich Olimpijczyków w Krośnie. Lubię przedmioty humanistyczne, czyli język polski i historię, oraz języki obce, w szczególności angielski i hiszpański. Brałem udział w wielu konkursach literackich, językowych i związanych z historią. Do tych konkursów motywowali mnie moi nauczyciele oraz mama. Uczę się na kursach językowych, miałem okazję prowadzić konwersację z ludźmi z krajów anglojęzycznych i świetnie sobie z tym wyzwaniem poradziłem. Moimi pasjami pozaszkolnymi są informatyka (w szczególności tworzenie filmów i YouTube) oraz turystyka. Moi rodzice zaszczytli we mnie pasję zwiedzania Ojczyzny i świata, moim marzeniem jest zwiedzać i poznawać kulturę innych krajów. Mam młodszego brata Kacpra, o którym lubię pisać opowiadania. On ma autyzm, ale jest bardzo zabawny i kochany. W przyszłości chciałbym rozwijać się humanistycznie i językowo, skończyć liceum i spróbować połączyć te zainteresowania ze studiami i późniejszą pracą.

**KINGA KRAWIEC**

Urodziłam w 2005 roku. Od zawsze mieszkam na wsi, ale nie takiej zwykłej, nie takiej przeciętnej... Sułoszowa to najdłuższa wieś w Polsce, liczy ponad 10 km. To niezwykle malownicze i ciekawe miejsce, położone na południu Polski w województwie małopolskim. Niedaleko znajdują się atrakcyjne dla turystów: Maczuga Herkulesa, zamek w Pieskowej Skale oraz jaskinie Ojcowskiego Parku Narodowego. Od zawsze więc otaczała mnie przyroda, legendy, baśnie i tajemnicze historie. Tu wyrosłam i wrosłam w ten świat. Bardzo lubię przebywać blisko natury, bo wtedy czuję się wolna...



Uczę się w Szkole Podstawowej nr 2 im. Batalionów Chłopskich w Sułoszowej. Jestem uczennicą klasy VIII. Szkoła to miejsce, które pozwoliło mi na rozwój pasji, talentów i zainteresowań. Tu odkryłam piękno otaczającego świata i poznałam wiele wspaniałych osób. Będzie mi bardzo ciężko rozstać się z tą szkołą, ale na pewno nigdy nie zapomnę o niej i o nauczycielach. Po najbliższych wakacjach planuję pójść do liceum. Wierzę, że moje plany się powiodą. Tego nauczyłam się właśnie w tej szkole: pewności siebie i wiary w przyszłość. Nigdy nie wolno się poddawać, trzeba mieć nadzieję i uparcie dążyć do celu. To już wiem...

Bardzo lubię pisać różne opowiadania, jest to dla mnie świetna forma odpoczynku i oderwania się od rzeczywistości. Podobnie jak główna bohaterka mojej pracy konkursowej kocham pływanie. Ten sport spr-

wia mi ogromną przyjemność. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy dowiedziałam się, że mogę te dwie pasje połączyć i wziąć udział w konkursie.

Interesuję się geografią, lubię czytać książki podróżnicze i przygodowe. Razem z ich bohaterami mogę zwiedzać cały świat, bo nie ukrywam, że jest to moje wielkie marzenie. Niestety, obecnie z wielu względów jest to niemożliwe, ale kiedyś... Dlatego na razie zwiedzam to, co mogę, czyli najbliższą okolicę. Razem z przyjaciółmi organizujemy wycieczki rowerowe i chodzimy na spacer. Zawsze towarzyszy nam śmiech i dobra zabawa. Aktualna sytuacja, związana z pandemią koronawirusa, znacznie pokrzyżowała nam plany na najbliższy czas. Przykro mi, że w tak wspaniałym okresie w ciągu roku, gdy wszystko budzi się do życia, nie możemy wyjść z domu. Więc... piszę...

MAKSYMILIAN KULIG

Jestem Maks, urodziłem się w 2005 roku i mam już prawie piętnaście lat. Od początku swej edukacji uczęszczałem do Szkoły Podstawowej nr 14 w Krośnie. Obecnie jestem uczniem ósmej klasy. Moje zainteresowania to przede wszystkim sport. Od ponad trzech lat trenuję koszykówkę, w którą gra sprawia mi wielką przyjemność. Uwielbiam też żużel, piłkę nożną czy skoki narciarskie i śledzę wyniki tych dyscyplin. Jednym z moich marzeń, planów na przyszłość jest to, by zostać dziennikarzem sportowym.



Mógłbym pisać artykuły i relacjonować wydarzenia z wielu aren. Chciałbym się realizować w tym kierunku. Dobrze radzę sobie z językiem polskim i pisanem, więc połączenie tego z pasją byłoby czymś świetnym.

MARTA OBRĘBSKA

Jestem zodiakalnym lwem i w sierpniu skończę 14 lat. Urodziłam się i mieszkam w Łodzi. Chodzę do ósmej klasy Szkoły Podstawowej Mistrzostwa Sportowego Marcina Gortata w Łodzi. Trenuję koszykówkę – od zawsze. UKS Szkoła Gortata to mój klub. Mój szczęśliwy numer to 18.



Lubię podróżować. Moje marzenie podróży za ocean spełniło się. Byłam w Waszyngtonie i widziałam na żywo mecze Washington Wizards w Capital One Arena. Magia na parkiecie!

Mam jeszcze tyle pięknych miejsc do zobaczenia.

Interesuję się rysunkiem, kaligrafią, a kiedy potrzebuję odsapnąć, to idę na spacer, wsiadam na rower lub pomykam na rolkach.

Mam cudowną rodzinę i przyjaciół. Jestem po prostu sobą i jestem szczęśliwa.

Moje opowiadanie dedykuję Karolinie, Trenerom, Rodzicom i Wszystkim, którzy pomagają mi osiągnąć cel, bo „mierzę wysoko”.

KINGA PIETERWAS



Mam 14 lat. Mieszkam w malowniczej miejscowości Myślenice położonej na południe od Krakowa. Uczęszczę do siódmej klasy Szkoły Podstawowej nr 3 im. Jana Pawła II w Myślenicach. W klasie o profilu pływackim kontynuuję sportowe tradycje dziadka i mamy, zajmując w zawodach wielokrotnie miejsca na podium. Zachęcana przez moją wychowawczynię mgr Elżbietę Marcowską, która uczy języka polskiego i historii, uczestniczyłam wielokrotnie w różnych konkursach recytatorskich, literackich, poetyckich i fotograficznych, zdobywając dyplomy i zaszczytne miejsca.

Interesuję się historią. Z opowiadań mojej babci wyłaniała się patriotyczna przeszłość moich przodków, walczących w Legionach, armii gen. Maczka, AK i Solidarności. Jestem dumna, że wychowuję się w rodzinie z tradycjami patriotycznymi. To wielka wartość i zobowiązanie.

Interesuję się również fotografią, którą zajmowali się moi pradziadkowie, dziadkowie oraz moja mama i wujek. Uwrażliwiona przez wieloletnią chorobę mojego kochanego dziadka Marka, włączam się w działania wolontariatu.

XXX Ogólnopolski Konkurs im. Jana Parandowskiego na opowiadanie o tematyce olimpijskiej pozwolił połączyć moje dwie pasje: literacką i sportową. Zainteresowania te, być może, wyznaczą moją przyszłość...

KAROLINA STEFANIAK



Rok 2005, Warszawa – czas i miejsce narodzin autorki jednego z zamieszczonych tutaj opowiadań. Chodzi ona do klasy ósmej jednej z pruszkowskich szkół – Szkoły Podstawowej nr 10 im. Marii Konopnickiej.

Mieszka w jednej z małych miejscowości, jakich w naszym kraju wiele – Świącicach. Plany na przyszłość? Nie ma ich zbyt wiele. Wychodzi z założenia, że plany sypią się zbyt łatwo i szybko, by snuć je tak dokładnie, ma tylko marzenie o pracy tłumacza.

Autor, jakie zabawne słowo. Nie sądziłam nigdy, że będę pisała notatkę na swój temat w celu innym niż wykonanie szkolnego zadania, a tu proszę – notatka o autorce opowiadania, które znajdzie się w zbiorze między innymi, na pewno świetnymi, historiami, pisała nie przez kogo innego, tylko przeze mnie.

Mimo tematyki mojego opowiadania, sport jest mi całkiem obcy, nie potrafię się w nim odnaleźć. Dlatego właśnie napisanie czegoś o sporcie wydało mi się interesującym wyzwaniem. Siedząc przed komputerem czy telefonem z zamiarem stworzenia czegoś, zawsze mam w uszach słuchawki. Bardzo często słyszę z nich muzykę zespołu The Neighbourhood, równie często też głos Taco Hemingwaya śpiewającego o warszawskim życiu, którego osobiście posmakować nie zamierzam, czy o problemach, z jakimi borykają się obecnie ludzie. Mimo ważnej roli, jaką odgrywa muzyka w moim życiu, i wciąż amatorskiej twórczości, wyróżnię jeszcze

jedną rzecz, bo o rodzinie wspominać chyba nawet nie muszę – przyjaciół. Rozmowy z tymi mi najbliższymi bardzo często owocują krótkimi historyjkami, które miło później czytać, przywołując wspomnienia.

Pisanie jest czymś, co pozwala mi dać życie bohaterom, którzy mogą być zarówno moim wymarzonym obrazem samej siebie, jak i jego całkowitym przeciwieństwem. Jako ich „stwórca” sama podkładałam im kłody pod nogi, pozwalałam błędzić i gubić drogę, a czasem i samych siebie – tylko po to, by na końcu udało im się odnaleźć i naprawić chociaż część błędów oraz problemów pozostawionych wcześniej bez rozwiązania bądź nadziei. Za to właśnie uwielbiam słowa – mogę bawić się nimi, jak tylko zechcę, pozwalać moim bohaterom śmiać się i płakać, czasem dając im szczęśliwe zakończenia, a czasem nie. Na pewno jednak zawsze obdarzając ich pozytywnym uporem, wytrwałością i odwagą, o czym można przeczytać w moim konkursowym opowiadaniu.

DOMINIKA SZMIDT

Mam 15 lat i mieszkam w Nowej Wsi niedaleko Grudziądza w województwie kujawsko-pomorskim. Na świat przyszłam 16 marca 2005 roku. Obecnie jestem uczennicą VIII klasy Szkoły Podstawowej im. Marii Konopnickiej w Nowej Wsi.

W ubiegłym roku zostałam absolwentką Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia im. Stanisława Moniuszki w Grudziądzu, gdzie uczyłam się gry na skrzypcach.

Kiedy doskwiera mi zły humor, uciekam w świat moich pasji, a jest ich dość sporo. Gram nie tylko na

skrzypcach, ale i na ukulele oraz pianinie, lubię też rysować, malować, śpiewać, uprawiać gimnastykę i oczywiście pisać. Najbliższa mojemu sercu jest jednak muzyka. Nie wyobrażam sobie życia, gdyby miało jej zabraknąć. Słucham różnorodnych gatunków muzycznych, a najbardziej lubię rock oraz alternatywę.



Moje liczne zainteresowania są dla mnie odskocznią od codzienności, pozwalają mi się wyciszyć i osiągnąć spokój, gdy tego potrzebuję. Staram się cieszyć każdą chwilą, w szczególności gdy mogę ją dzielić wraz z moją rodziną oraz przyjaciółmi. Bliskie osoby są dla mnie największym skarbem.

W przyszłości chciałabym studiować architekturę. Mam nadzieję, że uda mi się zrealizować to marzenie, a ponadto wciąż będę miała czas na pogłębianie i realizację wszystkich swoich pasji.

ROZALIA WOJTOWICZ

Niedawno skończyłam piętnaście lat. Uczęszczam do Szkoły Podstawowej nr 2 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Tomaszowie Lubelskim, której (prawie) jestem już absolwentką. Moimi ulubionymi przedmiotami są przede wszystkim chemia i język polski. Kiedy zaczęłam czytać pierwsze książki, bardzo chciałam napisać swoją własną. Podjęłam pierwsze dziecięce próby pisarskie. Pisanie sprawiało mi ogromną przyjemność.

Bardzo lubię zwiedzać historyczne miejsca, opiekować się moim psem i pisać opowiadania. Uwielbiam czytać książki historyczne, a szczególnie te dotyczące wspomnień ludzi żyjących w czasie II wojny światowej. Lubię także książki przygodowe i fantastyczne. W ostatnich latach odniosłam znaczne sukcesy w konkursach literackich w kategorii opowiadania.



Szczerze mówiąc, ze sportem nie mam zbyt wiele wspólnego (z przyczyn zdrowotnych), ale jestem szachistką, ta dyscyplina jest także kategorią sportową, chociaż nie wyczynową. W szachach mam wiele sukcesów o mniejszej lub większej randze. Udział w turniejach szachowych miał ogromny wpływ na moją osobowość. Szachy nauczyły mnie koncentracji, skupienia, opanowania, wytrwałości, a także pokory i szacunku wobec przeciwnika. Zyskałam pewność siebie i odwagę w nawiązywaniu relacji z innymi ludźmi.

Postanowiłam spróbować swoich sił w napisaniu opowiadania o wątku sportowym. Cieszę się, że doceniono moją pracę. Mam nadzieję, że będzie ona inspiracją dla innych osób. Jeśli się czegoś naprawdę pragnie, to mimo przeszkód można to osiągnąć ciężką i systematyczną pracą. Bohater mojego opowiadania, Karol Bielecki, pokazuje, że tak naprawdę w naszym życiu wszystko jest możliwe i wszystko od nas zależy.

Zofia Artymiak

Ikar o czterech kopytach

O d zawsze marzyłam. Moim największym marzeniem było latanie, więc gdy poznałam wystarczającą ilość słów, aby móc o nim opowiedzieć, podzieliłam się nim z dorosłymi. Chciałam uczynić ich pierwszymi powiernikami mojego marzenia. Niestety, nie spotkałam się ze zrozumieniem. Jednak nie zniechęcona tą reakcją, zaczęłam opowiadać o tym moim rówieśnikom. Uradowana stwierdziłam, że oni w przeciwieństwie do dorosłych, z którymi rozmawiałam, też mają marzenia. I podobnie jak ja, też potrafią o nich mówić z błyskiem w oczach, czasem ściszonego głosem, po zapewnieniu, że utrzymam ich sekret w tajemnicy. Niestety, wkrótce okazało się, że ich marzenia nie były takie, jak moje, więc i oni mnie nie rozumieli.

Byłam samotna, nie czułam, aby ktokolwiek rozumiał moje pragnienia. Często słyszałam, że tracę czas na myślenie o głupotach i że tak jak inni powinnam znaleźć sobie wymarzony zawód, i w tym kierunku podążać. Było to jednak dla mnie bardzo trudne i nużące zadanie. Zamiast tego zdecydowałam się poszukać sposobu, aby móc latać. Po jakimś czasie zaczęłam rozumieć, że potrzeba latania to nie tylko chęć

wznoszenia się i szybowania nad drzewami, ale przede wszystkim potrzeba wolności – wolności niczym nie ograniczonej, szerokiej i głębokiej jak ocean, w której go błękitnie mogłabym zanurzyć się bez żadnych obaw i ograniczeń.

Jak każdy marzyciel byłam bardzo samotna, więc zapragnęłam mieć przyjaciela, z którym mogłabym dzielić marzenia. Byłby on moją bratnią duszą, z którą nigdy bym się nie rozstała. Szukałam wszędzie, aż pewnego dnia rodzicom udało się namówić mnie na wyjście do stajni. Z pozoru miejsce wydało mi się nudne. Nie znałam nikogo i, szczerze mówiąc, nie miałam ochoty nikogo poznawać. Rodzice poprosili jakąś panią, aby posadziła mnie na koniu i dała mi pojeździć przez pewien czas. Wsiadłam, włożyłam nogi w strzemiona, chwyciłam w ręce wodze i bez przekonania rozpoczęłam lekcję. Gdy tak siedziałam na koniu, stało się coś bardzo dziwnego. Może tak mi się tylko wydawało, ale po raz pierwszy poczułam, że nie jestem sama. Nie wiem nawet, jak opisać moje wielkie zdziwienie. Nigdy nie myślałam, że tak dobrze poczuję się przy koniu. Przez lata marzyłam, że kiedyś na swojej drodze spotkam Dianę, tak jak Ania, bohaterka mieszkająca na Zielonym Wzgórzu. Chociaż nigdy nie przypuszczałam, że moja Diana będzie nosić imię Sauron i będzie miała cztery nogi podkute maszynowymi podkowami. Wtedy właśnie zrozumiałam, jak zaskakujące może być życie.

Od tamtej pory stajnia stała się moim drugim domem. Nawet nie musiałam jeździć konno, ale starałam się każdą wolną chwilę tam spędzić. Pomagałam czyścić konie, nosiłam siano. To miejsce coraz bardziej mnie pochłaniało. Zaczęłam brać udział w wolontariacie w stadninie, dzięki temu mogłam jeździć bez ogra-

niczeń. Miałam ciągle dużo rzeczy do zrobienia. Zawsze gdzieś było coś, co mogłam zrobić, zawsze gdzieś była osoba, której mogłam pomóc.

Nim się obejrzałam, właśnie zaczęłam latać. Byłam wtedy najszczęśliwsza na świecie! Mogłam być razem z moim najlepszym przyjacielem i dzielić z nim nie tylko marzenia, ale i lot. Czułam bicie serca, każdy oddech mojego towarzysza, razem z nim biegałam, skakałam, szybowала, pokonując jego i moje strachy. To była właśnie ta wolność, której tak usilnie szukałam przez całe moje kilkunastoletnie życie. Każda minuta spędzona w siodle była dla mnie na wagę złota. Ku zdziwieniu otoczenia, udało mi się stworzyć szczególną więź z moim przyjacielem, bo podczas jazdy byliśmy jednością. Wszyscy dziwili się, że Sauron, który dotychczas był postrachem stajni, posłusznie pracuje z jeżdżącą od niedawna dziewczynką. A ja wiedziałam, że on też, tak jak ja, pragnie i od zawsze pragnął latać. Kiedy czyściłam go przed każdą jazdą, dziwiłam się niezmiernie, że na jego grzbiecie nie ma skrzydeł...

Pokochałam Saurona całym sercem. On był tą częścią mnie, dzięki której miałam swój początek, rozwinięcie i zakończenie, tak jak każda wartościowa opowieść. Jednak mimo tej więzi, nie wszystko się udawało. Szczególnie na początku bywało trudno. Musiałam się wiele nauczyć, żeby móc być naprawdę dobrym jeźdźcą. Nauka wymagała pracy. Każdego dnia byłam w stajni. Każdego dnia pracowałam, każdego dnia starałam się być lepsza i do tego samego motywować przyjaciela. Nie był to dla mnie sport. To był sposób na życie i wspólna droga wzwyż.

Po wielu miesiącach ciężkiej pracy dostałam propozycję pierwszego w życiu startu w zawodach. Oczywiście w naszej ulubionej konkurencji – skokach. Dało

mi to jeszcze większą motywację do pracy. Cieszyłam się, ale moja radość mieszała się też ze strachem. Byłam ciągle jeszcze początkującym jeźdźcem. Liczyłam dni do konkursu. Nie mogłam się doczekać.

Dzień przed zawodami to najtrudniejszy dzień dla konia i jeźdźcy. Przyszłam, jak zawsze, w samo południe, osiodłałam mojego kochanego rumaka, zaprowadziłam go do ujeżdżalni i byłam gotowa polecieć z nim na księżyc, i z powrotem. Wsiadłam i rozpoczęłam jazdę pod okiem jednej z instruktorek. Po kilkunastu minutach trenerka zaczęła ustawiać przeszkody. Pokonywałam spokojnie jedną po drugiej, bez większych trudności. Pokonywałam zakręt, patrzyłam już tylko za przeszkodę, wyliczałam kroki, czułam wiatr we włosach i w ostatniej chwili podnosiłam się lekko do przodu. Potem kolejny zakręt i już szykowałam się do przeskoczenia kolejnej poprzeczki. To wszystko szło nadzwyczaj łatwo.

To był mój żywioł, zupełnie nie czułam lęku. Gdy zobaczyła to moja trenerka, stwierdziła, że przeszkody, które ustawiła, były za proste. Przeniosła kilka słupków, drążków i ustawiła stacjonatę w samym rogu ujeżdżalni. Widziałam, że zakręt jest zbyt ostry, by Sauron ze swoim długim krokiem był w stanie wykręcić i szybko wyprostować się, by najechać na przeszkodę. Mimo to postanowiłam spróbować, choćby dlatego że moja mentorka zazwyczaj nie przyjmowała odmowy wykonania ćwiczenia.

Zaczęłam galopować. Serce biło mi szybciej niż zwykle, miałam wrażenie, że za chwilę wyrwie się z piersi. Z każdą sekundą, która zdawała się trwać wieczność, byłam coraz bliżej przeszkody. Widziałam już zakręt. Starałam się ustawić tak, aby przeskoczyć rosnącą coraz szybciej i wyżej na moich oczach prze-

szkodę. Mocno zacisnęłam usta. Nie było już odwrotu. Lekko uniosłam się w siodle i nagle poczułam mocne szarpnięcie. Mój przyjaciel w ostatniej chwili ominął przeszkodę. Przez chwilę nie docierało to do mnie. Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk trenerki: „Jeszcze raz, nie pozwól mu przejąć kontroli!”. Nie pozwalałam. Sama nie wierzyłam w pomyślne zakończenie tej jazdy. Wiedziałam jednak, że dopóki instruktorka obserwuje każdy mój ruch, muszę próbować. Wszystko zaczęło się tak samo, jednakże tuż przed przeszkodą koń podskoczył, wyrzucając nogi do tyłu. Desperacko usiłowałam mu powiedzieć, że nie jest w stanie poradzić sobie z tą trudnością. Ledwo utrzymałam się na jego grzbiecie. Myślałam, że teraz ominie przeszkodę. Poczułam, że biegnie dalej, nie zdążyłam podnieść się w siodle. Skoczył, a gdy wylądował, nie byłam już w stanie złapać równowagi. Nim się obejrzałam, leżałam już na piasku, a Sauron biegł gdzieś w oddali.

Wiedziałam, że upadki to normalna rzecz, ale mój pierwszy upadek zdarzył się na dzień przed zawodami. Zaczęłam więc wątpić, czy w ogóle nadaję się do startu w prawdziwym konkursie jeździeckim. Cała oblepiona piaskiem odprowadziłam konia do stajni. Rozsiodłałam go, oparłam swoją głowę o jego ciemną, smukłą szyję. Nie wiedziałam, co mam dalej zrobić. Stałam tak kilka, może nawet kilkanaście minut. Miałam wrażenie, że Sauron rozumie mnie bez słów. Nie musiałam mu niczego tłumaczyć. Żadnych zbędnych słów, gestów. Po prostu byliśmy razem i wszystko było jasne. Mogłam tak stać godzinami, ale z zamyślenia wyrwali mnie moi rodzice, którzy postanowili przyjechać po mnie.

Noc poprzedzająca zawody była bezsenna, spędziłam ją na układaniu w głowie setek scenariuszy. Kiedy

tylko wstał dzień, pobiegłam do stadniny. Musiałam zająć się koniem, a potem pójść do hali, w której odbywała się rozgrzewka przed konkursami. Byłam ogromnie zestresowana. Ręce mi się trzęsły, nogi miałam jak z waty. Obeszłam tor, jak robią to zawsze jeźdźcy przed startem.

Po kwadransie spędzonym w rozprężalni usłyszałam swoje imię przez głośniki. Wiedziałam, że teraz nie ma już odwrotu. Wyjechałam na parkur. Rozpędziłam się, poczułam znajome uczucie latania. Z każdą chwilą pędziliśmy coraz szybciej i szybciej, a reszta świata po prostu przestawała się liczyć. Widziałam już pierwszą przeszkodę. Nabrałam jeszcze większego rozpędu. Poczułam, jak Sauron podnosi wysoko nogi i po chwili pierwszą przeszkodę mieliśmy już za sobą. Z każdą kolejną czułam, że skurcz w moim żołądku jest coraz mniejszy i że naprawdę są szanse, aby nam się udało. Po zaledwie kilku minutach, które dla mnie były wiecznością, cały tor miałam już za sobą. To było niesamowite uczucie.

Poszłam do stajni, by pobyć trochę z moim przyjacielem. Wyczyściłam go, wygłaskałam. Podczas gdy inni zawodnicy siedzieli na zewnątrz, zajądając się kiełbaskami i obstawiając wyniki konkursu, ja wołałam być z nim.

Nagle zupełnie niespodziewanie w stajni zjawił się jeden z organizatorów, proponując mi wzięcie udziału w jeszcze jednej konkurencji. Zdziwiłam się, a jednocześnie bardzo ucieszyłam. Start w zawodach coraz bardziej mi się podobał. Spojrzałam na konia, który po całym dniu ciężkiej pracy wyglądał już na zmęczonego. Sauron miał już swoje lata i trudną przeszłość u poprzednich właścicieli. Widziałam jego zmęczenie. Musiałam podjąć decyzję. Mogłam się zgodzić i być może



dzięki temu zakwalifikować się do kolejnych zawodów lub odmówić i zadbać o bezpieczeństwo swego towarzysza. To była pierwsza poważna decyzja jeździecka, jaką przyszło mi podjąć. Tamtego dnia nie wiedziałam, że przede mną jeszcze mnóstwo o wiele trudniejszych decyzji. Dziś wiem, że decyzja, którą wtedy podjęłam, była słuszna. Nie naraziłam konia.

Po zawodach nie przestawałam trenować. Chęć startów w zawodach była we mnie coraz silniejsza, więc jeździłam jeszcze częściej, dłużej... Wszystkie treningi, w jakich brałam udział, stawały się coraz cięższe. Podczas jednego z nich instruktor zaproponował mi zmianę stadniny. Zaprosił mnie do ośrodka, w którym mogłabym profesjonalnie trenować. Poczułam się niesamowicie. Prawie natychmiast się zgodziłam. To było prawdziwe spełnienie marzeń. Trener zgodził się nawet, żebym kontynuowała pracę z Sauronem. Musieliśmy pracować o wiele, wiele ciężiej. Z czasem jazda przestawała być dla mnie oderwaniem się od szarej rzeczywistości. Działo się coś dziwnego, to wszystko było dla mnie coraz bardziej męczące. Jazda zwyczajnie przestawała mi sprawiać przyjemność. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Co tydzień byłam na zawodach. Nie mogłam zrezygnować z tych wszystkich startów, bo zaszłam już za daleko.

W końcu nadszedł dzień prawdopodobnie najważniejszych zawodów w mojej karierze. Miałam szansę zakwalifikować się do prestiżowych konkursów. Wiedziałam, że dzięki mojej marzycielskiej duszy znalazłam się w miejscu, do którego dąży wielu jeźdźców. To wszystko było efektem ciężkiej pracy mojej i Sauro-na. Byłam z niego dumna. Gdy go poznałam, był tylko jednym ze szkółkowych koników, które muszą całymi dniami wozić ludzi i pewnie nawet nie wiedzą, że mają

w sobie siły i pragnienia, by być gdzie indziej. On, tak samo jak ja, ciężko pracował, by być tu za mną.

Był już ranek. Słońce nieśmiało wpadało przez okno do pokoju, w którym nocowałam. Wyjrzałam przez okno. Widziałam namiot, w którym stały konie. Wyszłam na zewnątrz. Czułam, jak zimne powietrze smagało moją twarz. Przed namiotem usłyszałam rżenie koni. „Co się dzieje?” – pomyślałam. Weszłam do namiotu. Stałam przy jednym z pierwszych bok-sów. Nie wierzyłam własnym oczom. Przede mną stała bardzo drobna dziewczynka, prowadząca konia jednego z zawodników. Za nią stał Sauron, który chyba właśnie „pokopał się” z tym koniem. Dziewczynka była przerażona. Nie wiedziała, co ma zrobić. Całą swoją siłą ciągnęła linę przypiętą do kantara konia, żeby tylko rozdzielić go z Sauronem. Natychmiast rzuciłam się w jej kierunku. Złapałam za linę, którą wcześniej trzymała, i kilka razy pociągnęłam ją energicznie. Udało mi się odstawić konia do boksu. Podeszłam do Sauro-na. Sprawdziałam nerwowo, czy nic mu się nie stało. Dziewczynka stała obok i przeproszała mnie niezliczoną ilość razy. Nie byłam zła, ten wypadek to nie jej wina. Ktoś, kto zamykał wieczorem drzwi do boks-u mojego konia, musiał to zrobić bardzo nieuważnie, dlatego Sauronowi udało się bez trudu je otworzyć. Spojrzałam na jego bok, wyglądał na mocno obity. Wyprowadziłam go z boks-u, żeby zobaczyć, czy może chodzić. Szedł spokojnie, zdecydowanie lekko kulał. Bardzo się zmartwiłam. Szybko poszłam po weterynarza, który zbadał konia. Powiedział, że Sauron może wystartować, jeśli poczuje się lepiej, ale start będzie dość ryzykowny. Spojrzałam w oczy mojego towarzysza. Patrzył na mnie jak zawsze. Tamtego ranka dałam mu odpocząć, ale musiałam podjąć decyzję, czy

zamierzam wystartować. Nie umiałam zdecydować. Tysiące myśli kłębiło mi się w głowie. Po kilku godzinach znów zajrzałam do boksu Saurona. Przespacero- wałam się z nim. Już nie kulał, ale jego noga wciąż była słaba. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Spojrzałam na niego. Coś mi mówiło, że to on bardziej niż ja chce to zrobić. A może chciał to zrobić dla mnie? Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

Postanowiłam, że wystartujemy, ale zrobimy to inaczej, niż tego od nas oczekują. Usłyszałam wezwanie do startu przez głośniki. Wyjechałam pewna siebie, skupiona i spokojna. Jechaliśmy bardzo powoli, do każdej przeszkody podchodziliśmy rozważnie, znajome uczucie latania nagle wróciło. Ludzie patrzyli się na nas, głośno komentowali, okazując swoje zdziwienie. W tych zawodach punktowana była nie tylko bezbłędność przejazdu, ale także czas. A my nie zwracaliśmy na nich uwagi, myślami byliśmy daleko stąd. Trenerzy, zawodnicy, sędziowie – ci wszyscy ludzie nie mieli dla nas znaczenia. Po ukończeniu parkuru wiedziałam, że wygraliśmy. Oczywiście w tabeli zawodów byliśmy na ostatnim miejscu, ale nie o tę wygraną nam szło. Ten start był ukoronowaniem naszej wspólnej drogi, która potem trwała jeszcze wiele pięknych dni.

Wielu jeźdźców mówi o „więzi” z koniem. Mają przez to na myśli dobrą współpracę. Ale żeby przenosić góry, żeby przemierzać morza i przełamywać wszystkie bariery, współpraca nie wystarcza. Potrzebna jest miłość. Miłość jest kluczowa. To miłość otwiera na wolność. Miłość, której źródłem nie są sukcesy, ale taka, która w gruncie rzeczy jest bezwarunkowa. Jeśli tylko jesteś w stanie tak pokochać, zaczynasz latać.

Bartłomiej Klamut

Hyniohunik – dalsze losy małego chłopca

Kilka miesięcy temu rozmyślałam, o czym mógłbym napisać opowiadanie; czy jest coś, co może zainteresować szersze grono ludzi. Pomyślałam – autyzm to pokonywanie własnych słabości, przeciężanie trudów codziennego życia, to taka walka niemalże olimpijska, pomalutku i cierpliwie, byle do góry się piąć. Jednak nie ukrywam, że miałem duże wątpliwości, czy ktokolwiek się zainteresuje opowiadaniem o autyzmie, to przecież takie mało znane i skrywane schorzenie... Komu zechciałoby się takie nudy czytać?

Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł napisania w paru zdaniach o codziennym życiu pewnej rodziny. Rodziny, jakich wiele na całym świecie: mama, tata i dwoje dzieci. Nie była to jednak nieznana mi rodzina, wymyślona, tylko... moja własna. Stworzyłem coś na miarę pamiętnika rodzinnego.

Tym sposobem powstało opowiadanie *Hyniohunik*. Efekt końcowy, nie ukrywam, zupełnie mnie zaskoczył, nie spodziewałem się, że opowiadanie o moim małym autystycznym braciszku odniesie taki wielki sukces. Tyle osób było zaciekawionych naszą historią

i przeczytało tamto opowiadanie o małym Hyniohuniku.

Autyzm i mój brat – to temat szeroki, można by pisać i pisać, chociaż może niektórym dziwne wydają się różne opisywane sytuacje. Bo dla zwykłego przeciętnego człowieka relacja, jak dziecko biega po Gubałównie czy „wydziera się”, zwiedzając muzeum, może być nieciekawe, wiele dzieci przecież tak robi. Jednakże często dzieci tak robią, bo są po prostu niegrzeczne i kapryśne, żeby dokuczyć mamie czy tacie. Mój brat jest grzeczny, to jego umysł wyzwał w nim te zachowania, każde z nich ma swoje podłoże – czy to zbyt duży gwar wokół, czy może światło za mocno świeci, czy jakiś dźwięk akurat mu przeszkadza. Chciałbym zachęcić wszystkich do przeczytania pierwszej części historii o moim braciszku, choćby po to, aby dowiedzieć się, co kryje się pod tytułem *Hyniohunik*, tam będzie można znaleźć odpowiedź.

W tym roku znów rozmyślałem, o czym mógłbym napisać, może jakaś jednak zmyślona historyjka? Hmm... Nie, jednak nie. Takich zmyślonych historii jest wiele, to mało wyraziste, prawda i autentyczność są najważniejsze. Zmotywowany zeszłorocznym sukcesem *Hyniohunika* postanowiłem więc, że napiszę drugą część tego opowiadania, ponieważ mój brat od tamtego momentu bardzo się zmienił, a temat autyzmu stał się o wiele bardziej popularny, ludzie się tym coraz bardziej interesują. W tym opowiadaniu opiszę niektóre z zachowań i sytuacji z życia mojego brata, jakie wydarzyły się od czasu, kiedy napisałem pierwszą część opowiadania, a były szczególnie istotne dla naszej rodziny i zapadły nam w pamięć.

Najpierw chciałbym zacząć od opisanie nowych, ciekawych zwrotów, których przez ten rok nauczył

się i które wypowiadał mój brat. Ponieważ Kacperek nie zdołał opanować umiejętności mówienia, a może nie chciał, tego nie wiemy niestety, więc używa słów i zwrotów wyłącznie jemu odpowiadających. Część tego, co mówi, określa prawidłowo, i wiemy, o co mu chodzi, jednakże sporo jest też dziwnych określeń, których znaczenia nie możemy rozgryźć. Jednym z nich jest na przykład „Pies, natulikaj”. Gdy to mówi, podnosi wyprostowaną rękę do góry. Robi taki gest, jakim w Niemczech w czasie II wojny światowej pozdrawiali się hitlerowcy. Przeróżające, prawda?

Drugim takim zwrotem, którego znaczenia nie udało nam się odkryć, jest „Pike bi fa fuli”. Mówi to nieraz, zapewne też coś to oznacza, jednak stanowi to dla nas kolejną zagadkę. Czasami się nawet zastanawiam, czy by nie napisać całego słownika z wyrazami, które wymyśla i mówi Kacperek. Niektóre z nich są naprawdę całkiem zaskakujące i jakby przypadkowe, na większość z nich nikt z nas nie zwraca uwagi, ponieważ brzmią całkiem niecodziennie. Ale na pewno kryją w sobie jakieś znaczenie...

Nasz Kacper okazał się wspaniałym turystą i podróżnikiem. Czeka co roku, przewracając kartki w kalendarzu, aż nadejdą ciepłe miesiące i będziemy mogli gdzieś z nim pojechać. Dla niego liczy się tylko to, żeby go wziąć do samochodu i jechać z nim przed siebie. Najlepiej jeszcze, żeby to był wyjazd z noclegiem, bo Kacper łamie wszelkie stereotypy mówiące, że dzieci autystyczne nie lubią zmian i nowych miejsc. On je uwielbia i odkrywanie świata to dla niego ogromna przyjemność. Najwięcej ciekawych sytuacji przydarzyło się nam podczas wspólnych wyjazdów. Chciałbym wspomnieć o kilku, może dla wielu osób mało istotnych i nic nieznających, ale dla naszej rodziny były

to momenty, które zostaną z nami już w pamięci przez całe nasze życie.

Pewnego dnia pojechaliśmy po raz pierwszy na baseny termalne. Kacperek dokładnie wybadał wszystkie po kolei baseny i szukał takiego, który by mu najbardziej odpowiadał. Próbował wszystkich, od najchłodniejszego do najcieplejszego. Próbował po kolei, aż doszedł do najcieplejszego, w którym woda była bardzo gorąca. Uśmiechnięty i krzyczący z radości chodził w nim i pływał, lecz po jakimś czasie stwierdził, że jednak trochę dla niego jest za gorąco, więc trzeba się ulokować w innym. W końcu wybrał taki z temperaturą średnią.

Po wejściu do niego na jego buzi pojawił się szeroki uśmiech, szczęście i radość u niego to był widok nie do opisania. Już z tego basenu aż do zamknięcia nie wyszedł. Kładł się na plecach i unosił na wodzie, jakby nic nie ważył, był lekki jak piórko. A ponieważ zamykał przy tym oczy, to potrafił nieźle zaniepokoić tym zachowaniem innych ludzi. Kiedy tak położył się na wodzie i „dryfował”, to niektórzy ludzie próbowali go ratować, bo myśleli, że utonął. Budził ogromne zainteresowanie swoją osobą w basenie.

Jednym z największych sukcesów Kacperka było zwiedzenie przez niego całego zamku w Malborku. Na jednej z naszych wakacyjnych wycieczek postanowiliśmy zwiedzić ten zamek, było to naszym wielkim marzeniem, a że częścią naszej rodziny jest Kacperek, więc byliśmy zmuszeni pokonać słabości i stawić temu czoła wraz z nim. Zwiedzanie trwało ponad cztery godziny. Już na wstępie wszystko układało się przeciwko nam. Kacper nie zjadł prawie nic na śniadanie, więc już były obawy co robić, bo on przecież nic nigdzie nie zje, a gdy głodny, to będzie zły i wściekły. Gdy dojechali-

śmy na miejsce, rozpętała się straszna burza, musieliśmy stać w jednej z bram zamku i czekać aż przeminie. Potem znów czekała na nas spora kolejka do kas biletowych.

W końcu weszliśmy już prawie po 12 godzinie w południe, więc w porze obiadowej i z głodnym Kacprem. Na dodatek zwiedzanie było powolne, w grupie i z przewodnikiem. Na początku myśleliśmy, że Kacperek nie będzie w ogóle zainteresowany zamkiem, będzie krzyczał, bo na przykład coś mu się nie będzie podobać, no z powodu głodu. I właśnie byliśmy w błędzie! Nasz mały kochany chłopczyk zwiedził całutki zamek bez żadnych większych problemów, nie denerwowało go nawet mówienie przewodnika, bo, jak wiadomo, on nie znosi słuchania tego, co ktoś mówi, niezrozumiale i nieciekawie dla niego. Mama sprawiła mu wcześniej fajną koszulkę z napisem „Mam autyzm” i założyła mu ją na zwiedzanie zamku, żeby ludzie się głupio nie patrzyli, jak będzie się źle zachowywał. Najgorsze zawsze są te spojrzenia ludzi i głośne komentarze, że takie to niegrzeczne i niewychowane dziecko. Przez całe zwiedzanie w zasadzie wszystkie dzieci z grupy zrezygnowały, bo były zmęczone i znudzone, a nasz dzielny Kacperek dalej z nami maszerował. Podjadał przy tym pistacje, jego ulubiony przysmak. Mama wzięła je ze sobą i dzięki temu nie był taki głodny. Zwiedzenie zamku w Malborku można zaliczyć jako jedno z największych osiągnięć i sukcesów Kacperka.

Mieliśmy też kilka ciekawych sytuacji z moim bratem, gdy byliśmy nad morzem, na plaży. Kacperek cały czas niszczył innym dzieciom z niewiadomych przyczyn zamki i inne budowle z piasku. Prawdopodobnie mu coś w nich nie pasowało i go drażniły. Nie mogły po prostu sobie być, trzeba było sprawić, żeby stawały

się takim piaskiem, jak wszędzie wokół. Musieliśmy go cały czas pilnować, bo chciał podbiegać i rozwalać piaskowe budowle. Pewnego razu niestety wyrwał się rodzicom i jednemu dziecku rozburzył cały wielki zamek z piasku. Zamarliśmy z przerażenia, że zaraz mama tego dziecka będzie na nas krzyczeć. A tu okazało się, że ta pani jednak była bardzo miła i okazała zrozumienie, sama wcześniej zobaczyła, że nasz Kacperek jest jakiś dziwny i rozpoznała, że ma pewnie autyzm. A że ta pani pracowała z takimi dziećmi, jak mój brat, zrozumiała całą tę sytuację i nie miała do nas pretensji.

Nad morzem mój kochany brat zachwycił się pływającymi w wodzie meduzami. Wyciągał je z wody i rzucał nimi po całej plaży i zanosił z powrotem do wody. Ogromną frajdę mu to sprawiało, w ogóle nimi się nie brzydził. Trzeba przyznać, że bardzo odważny z niego gość! Uśmiech na jego twarzy nie znikał również, gdy mnie całego zasypał w piasku, aż wystawała mi tylko głowa. Kacper zanosił się ze śmiechu, ubawiał z tego przeogromny. Aż popłakał się ze śmiechu.

Następną wielce interesującą rzeczą są leśne wędrówki mojego brata. Nasz Kacperek uwielbia chodzenie po parku leśnym Dębina, znajdującym się niedaleko naszego miejsca zamieszkania. Maszeruje przez cały las z kijem do wędrówek, z uśmiechem na twarzy. Uwielbia chodzić z rodzicami na grzyby, czasami, gdy rodzice mówią, że idą ich szukać, to Kacperek szuka z nimi i mówi, że szuka „dzika”. Podczas jednej z takich wypraw wydarzyła się pewna niepokojąca sytuacja, kiedy to podczas grzybobrania Kacperek znalazł się w posiadaniu muchomora sromotnikowego i kierował go w stronę ust (Kacper uwielbia wsadzać do buzi i zjadać przeróżne rzeczy). Na szczęście powiedział przy tym wtedy głośno słowo „grzyb” i dlatego muchomor zo-

stał zauważony w porę przez mamę, która przerażona zabrała mu trujący grzyb tuż sprzed ust i wyrzuciła go w trawę. Bardzo wtedy się wszyscy zdenerwowaliśmy, bo dotarło do nas, jak bardzo trzeba pilnować Kacperka i uważać na niego, nie można go nawet na sekundę spuścić z oczu.

Od zeszłego roku nasz Kacperek został zapisany na zajęcia pływackie na basenie w szkole, do której ja i on chodzimy. Zajęcia są przeznaczone dla dzieci niepełnosprawnych w ramach Uczniowskiego Klubu Sportowego Olimpijczyk. Okazały się ulubionym punktem tygodnia mojego braciszka. Kacper potrafi przed zajęciami dosłownie przebrać się w kilka sekund, taki jest podekscytowany. Można wręcz powiedzieć, że z tej radości, będąc na basenie, chodzi po powierzchni wody. Mój brat najwidoczniej uwielbia wodę i pływa jak prawdziwy zawodowiec! Czasami chwytą pana trenera i zdarza się, że czasami wciąga go pod wodę! Ratownicy się skarżą i denerwują, że mój brat obgryza i zjada „makarony” do pływania. Trzeba uważać, ponieważ jeśli ściągnie nagle czepek oraz okulary, jest to znak, że za chwilę spróbuje uciec do jacuzzi i trzeba za nim biec. Pan trener mówi, że Kacperek ma idealne predyspozycje na porządnego pływaka, świetnie pływa, nie boi się wody i nurkuje. Tylko... tylko nie chce nikogo słuchać. I jak mu wytłumaczyć, żeby brał udział na przykład w zawodach. Że trzeba nagle wystartować i płynąć, a on wtedy ucieknie w inną stronę. Miejmy nadzieję, że kiedyś troszkę zmadrzeje i zacznie wykonywać polecenia, miałby szansę wtedy zostać prawdziwym sportowcem.

Moja mama wraz z koleżankami, które mają również dzieci z autyzmem, założyła w naszym mieście Stowarzyszenie Klub Rodziców Dzieci z Autyzmem.

Mama z tymi rodzicami propagują temat autyzmu, organizują różne ciekawe spotkania i wyjazdy. W zeszłym roku Stowarzyszenie zorganizowało 2 kwietnia wielki marsz z okazji Światowego Dnia Autyzmu. Przez ulice naszego miasta przeszły setki ludzi, znajomych i obcych, dzieci i młodzieży ze szkół, przedszkoli i placówek. Prowadziła marsz prawdziwa orkiestra i panowie policjanci na motorach. Na czele marszu szedł prezydent miasta, radni oraz inne znane osoby. A pośród nich na samym przodzie nasz mały Kacperek z uśmiechem na twarzy.

Największa fabryka krzeseł w Polsce Nowy Styl w tym roku zorganizowała kolejną już charytatywną imprezę w jednej z hal sportowych w naszym mieście i zaprosiła też rodziców ze Stowarzyszenia wraz z dziećmi. Kacperek, co prawda, poszedł na tę imprezę i miał okazję zrobić sobie zdjęcie z niepełnosprawnym żuźlowcem Rafałem Wilkiem, jednak niestety niezbyt mu się tam podobało, nie wyrażał zainteresowania zabawami, zatykał cały czas uszy z powodu hałasu, nie chciał niczego słyszeć, próbował izolować się od świata. Nawet na tak niespotykaną atrakcję, kiedy na żywo łączył się z dziećmi i przemawiał z telebimu nasz najlepszy piłkarz Robert Lewandowski, Kacperek nie wyraził entuzjazmu. Pomimo tego wszystkiego, ważne jednak jest to, że był tam, próbował pokonywać swoje słabości i „przetrwał” kilka godzin na tej imprezie.

Mój brat dzielnie radzi sobie w szkole. Jest to jego ukochane miejsce, z taką radością pędzi codziennie na lekcje! Nie lubi przerw od szkoły typu weekendy, ferie czy wakacje, nie może się doczekać ich końca, codziennie zagląda do kalendarza i woła: „Do szkoły!”. Kacperek w ostatnich miesiącach zdobył nagrody i wyróżnienia w konkursach plastycznych. Prace wykonu-

je wraz ze swoją terapeutką, która pomaga mu, dużo przygotowuje sam, koloruje, wycina, przykleja itp. Kacperek może brać udział tylko w takich konkursach manualnych, bo nie ma możliwości, niestety, wykazywać się w konkursach wiedzy, recytatorskich, czytelniczych czy wokalnych. Tu barierą dla niego jest jego schorzenie i brak mowy. Jednakże te niewielkie może sukcesy Kacperka bardzo wszystkich, którzy mu kibicują, cieszą. Swoją ukochaną szkołę dzielnie promuje, jak potrafi.

Kacper jeszcze całkiem niedawno nie mówił ani słowa, nie znał żadnej literki, cyferki. A teraz pięknie odrabia zadania do szkoły. Jego ulubione przedmioty w szkole to na pierwszym miejscu na pewno języki obce, a uczy się języka angielskiego i hiszpańskiego. Poza tym uwielbia oczywiście informatykę, bo kto by nie lubił komputerów.

Jednakże duże zdolności i uwielbienie ma Kacper do matematyki. Dodawanie, mnożenie czy dzielenie to zakres jego ulubionych zadań, robi je w tempie błyskawicy, wydaje się, że ma w głowie kalkulator. Nie lubi jednak zadań z odejmowania, tata się śmieje i mówi, że to pewnie dlatego, że Kacperek nie lubi nic komuś zabierać. Gdy są zadania na odejmowanie, to szybko i podstępnie, gdy nikt nie widzi, zmienia znak minus na plus i udaje, że tak było w zadaniu. Wszystkie postępy mojego brata to duża pomoc innych ludzi i chęci moich rodziców. Wytrwałość, praca, chęć, upór i determinacja to długa droga, aby to wszystko osiągnąć. Ale warto, naprawdę warto.

Kacper jest cudownym i kochanym bratem, uwielbia przychodzić do mnie do pokoju, szczególnie wieczorami przed pójściem spać. Wbiega do pokoju z uśmiechem na twarzy, chowa się pod kołdrą i przygląda

się, obserwuje mnie co robię, najczęściej kiedy gram na komputerze. Uwielbia się przytulać, często mówi: „A przytul, a przytul”. Mówi tak najczęściej, kiedy ktoś jest zły, smutny lub płacze. Często również chwytą mnie za rękę i mówi: „Chodź rękę”. Chodzi mu zazwyczaj o to, że chce mi coś pokazać lub żebym mu w czymś pomógł.

Kacper jest dobry w wielu rzeczach, jest zarówno świetnym artystą, matematykiem, lingwistą, wspaniałym pływakiem, grzybiarzem i jednocześnie doskonałym z niego turysta i sprinter, nikt go nie potrafi dogonić. Mama nazywa go królem życia, ponieważ on wie, co w życiu najlepsze. Lubi dobre jedzenie, dużo zabawy, przyjemności, kocha cały świat i uśmiecha się do wszystkich ludzi. Kacper chłonie życie, cieszy się nim, ten swój uśmiech rozdaje wszystkim dookoła. Nie ma człowieka, którego by nie ujął sobą, wszyscy go lubią i kochają. Całe jego życie to ogromne wyzwanie, nie tylko dla nas, ale i dla niego. To pokonywanie własnych słabości i przezwyciężanie tego, co trudne. Może kiedyś, za kilka lat, będę miał okazję znów opisać jeszcze raz mojego oryginalnego, ale i przy tym cudownego brata. Wiem jedno, jestem naprawdę dumny, że go mam, zawsze będzie przy mnie, zawsze będę jego starszym bratem.

Kinga Krawiec

Być jak Motylia...!

Nazywam się Wiktoria; Victoria – znaczy zwycięstwo. W moim przypadku to jednak o niczym nie świadczy. Z doświadczenia mojego szesnastoletniego życia wiem, że powinnam raczej mieć w imieniu jakiś łaciński odpowiednik porażki. No, ale cóż... Nie ja wybierałam... Dlaczego tak myślę? Otóż, przede wszystkim, od zawsze byłam traktowana jako ta druga, czyli gorsza. Emilia, moja siostra bliźniaczka, była i jest ideałem w każdym calu – wzorowa, mądra, piękna, zgrabna, itd. Chodzimy razem do liceum. W szkole jestem jak inni pierwszoklasiści: „niewidzialna”. Nie rzucam się w oczy, nie zwracam na siebie niczyjej uwagi. Emilia to co innego. Od pierwszego dnia stała się szkolną celebrytką. Nawet mnie to zbytnio nie zdziwiło. Odkąd pamiętam byłam znana jako „siostra Emilii”, jakbym nie była Wiktoria, nie miała imienia i swojego życia. Początkowo było mi smutno, ale z czasem się z tym pogodziłam. Okazało się bowiem, że to nawet wygodne i fajne być „niewidzialnym”. Jak cię nikt nie widzi, możesz przecież wszystko i wszystkich obserwować – wtedy ty widzisz więcej...

Moja „wspaniała” siostra odnosiła i odnosi sukcesy niemal w każdej dziedzinie. Jest też chwalona

i podziwiana za wszystko. Tak jakby samo to, że istnieje, było już cudem samym w sobie. Jedyne, w czym jestem od niej „lepsza”, to... szkoła i oceny. Nie chwając się, uczę się bardzo dobrze, Emilka – przeciętnie. Jak zauważyłam, nie jest to jednak żaden argument dla moich rodziców. Nigdy nie usłyszałam od nich nawet drobnej pochwały. Uważają, że to mój obowiązek, a za wykonywanie obowiązków nie ma nagrody. Jedyne pożytek z mojej nauki to fakt, że nikt się nie czepia. Jak każdy (prócz Emilii), mam jednak swoją piętę achillesową. Jest nią sport. Od początku nie żywiłam więc większego entuzjazmu do lekcji wychowania fizycznego. Nie przepadałam za żadną dyscypliną, a zamiast ćwiczyć, wołałam poczytać dobrą książkę. Emilka za to już od przedszkola chodziła na balet, a potem została cheerleaderką. Tańczenie przed publicznością nie podobало mi się zbyt, jednak jak każda z dziewczyn marzyłam o dołączeniu do grupy. Jediną aktywnością ruchową, którą od zawsze lubiłam, było pływanie. Uwielbiałam wskakiwać do basenu, ponieważ wtedy na kilka chwil mogłam o wszystkim zapomnieć i odebrać się od rzeczywistości.

Któregoś pięknego dnia, jak zwykle, wybrałam się na pływalnię. Kiedy weszłam, trwały właśnie zajęcia grupy młodzieżowej dziewcząt. Lekko skrupowana, weszłam do wody. Postanowiłam nie zwracać na nikogo uwagi i zajęłam się tylko sobą. Pływałam stylem grzbietowym. Każdy ruch wykonywałam z wielką starannością, nigdzie się nie śpiesząc. Podczas przerwy zauważyłam na sobie wzrok trenera. Krępowołało mnie to bardzo, no ale cóż... Zawstydzona, starałam się na niego nie patrzeć. W głębi serca chciałam być znowu „niewidzialna”, teraz to nawet by się przydało. Ale okazało się, że nie ma nic na zawołanie. Popływałam więc

jeszcze trochę. W końcu jednak musiałam wyjść z tej wody. Wtedy podszedł do mnie trener:

– Cześć, jestem Maks – powiedział i podał mi rękę – przygotowuję dziewczyny do zawodów – dodał. A ja, nie wiedząc, co odpowiedzieć, odburknęłam zwykle:

– Hej. Wiktoria.

– Przyglądałem ci się przez jakiś czas, widziałem, jak pływałaś.

– No wielkie mi halo, wiem przecież, bo też mam oczy – pomyślałam, ale nic nie powiedziałam, więc on kontynuował:

– Zauważyłem, że bardzo dobrze sobie radzisz. Od jak dawna pływasz? Chodziłaś na treningi?

– Yyy, tak na serio, to pływam od niedawna. Kilka miesięcy temu pierwszy raz tutaj przyszedłam. Miałam kilka lat przerwy... Gdy byłam młodsza, o mało nie utonąłam. Od tego czasu raczej unikałam wody. Teraz jednak stwierdziłam, że spróbuję... muszę przezwyciężyć strach. I jakoś się udaje. Spodobało mi się, więc przychodzę tutaj czasami się odstresować – odpowiedziałam, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego on o to pyta i dlaczego ja mu odpowiadam. Mówię, co leży mi na sercu zupełnie obcemu człowiekowi? To wprost niewiarygodne.

– Może powinnaś zacząć myśleć poważniej nad rozwijaniem swoich umiejętności. Widzę w tobie potencjał. Otylią-Motylią od razu nie zostaniesz, ale z czasem... Kto wie? Zapraszam na kolejne zajęcia, jeśli oczywiście masz ochotę. Pokażesz mi, na co cię stać. Sprawdzimy, jak sobie radzisz – rzucił jeszcze i najzwyczajniej w świecie odwrócił się na pięcie.

– Zastanowię się... – rzuciłam ogromnie zaskoczona.

– Myśl, myśl, ale zobaczymy się w sobotę? Może o 17:00? Liczę na to – zawołał i... tyle go widziałam.

Zamyślona, skierowałam się do szatni.

– Czy naprawdę jestem aż taka dobra? – zapytałam w myślach samą siebie. Nigdy nie przykładałam większej uwagi do tego, czy dobrze mi idzie. Traktowałam pływanie jako jakiś rodzaj terapii.

Przez kilka następnych dni myślałam nad tym, co powinnam zrobić. Iść, nie iść? Czy wybrać się na pływanię, czy może jednak dać sobie spokój i skupić się na tym, co wychodzi mi najlepiej, czyli na nauce? Nie miałam nikogo, z kim mogłabym poważnie porozmawiać i poprosić o radę. Emilia zawsze uważała mnie za gorszą – więc odpada. Nigdy nie cieszyła się z niczego, co udało mi się osiągnąć. Podobnie rodzice – zwracali uwagę tylko na jedną z bliźniaczek i nie byłam to ja. Przyjaciół również nie posiadałam, a koleżanki... im nie powierza się sekretów. A ja jestem raczej osobą skrytą, która woli się nie afiszować. Zresztą stwierdziłam, że nie mam na to czasu. I to jest szczerą prawdą – całe popołudnia spędzałam na nauce lub czytaniu książek, a na przerwach powtarzam materiał.

W końcu nadeszła sobota. Choć nie byłam do tego do końca przekonana, zdecydowałam się spróbować. Tak długo myślałam i... chyba tylko z bezmyślności poszłam. Weszłam do budynku i od razu przez szybę zobaczyłam Maksa. Od ostatniego spotkania zdążyłam się dowiedzieć, że ma bardzo dobry kontakt z dziewczynami. One traktują go raczej jako dobrego znajomego, a nie nauczyciela. Nawet przystojny ten Maks – wygląda na dziewiętnaście lat, wysoki, brunet... W sumie OK – pomyślałam i aż się przestraszyłam: – Co ja mam w głowie? Szybko przebrałam się i wyszłam z szatni. Wtedy podszedł do mnie trener:

– Cześć Wiktorio, cieszę się, że przyszedłeś – powiedział z uśmiechem.

– Hej – odwzajemniłam jego powitanie.

– Potrafisz zrobić rozgrzewkę, tak? – zapytał, a może stwierdził?

– Oczywiście – odpowiedziałam i sama zdziwiłam się swoją pewnością w głosie.

– Więc do dzieła, ja teraz zajmę się drużyną. Potem sprawdzimy, co potrafisz.

Niezbyt profesjonalnie zaczęłam się rozgrzewać, a Maks podszedł do dziewczyn i mówił, co mają robić. Po chwili wrócił do mnie:

– No dobra. Sprawdźmy, jak pływasz.

– OK – mówiąc to, weszłam do wody i dopłynęłam do jednego z torów. Miałam za zadanie przepłynąć 100 metrów stylem grzbietowym. Chwilę potem wcisnęłam guzik i... *go*. Staralam się płynąć ze wszystkich sił. Wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. W końcu dopłynęłam na drugą stronę basenu i ponownie dotknęłam urządzenia mierzącego czas. Będąc jeszcze w wodzie, czekałam na reakcję trenera.

– Masz bardzo dobry wynik – powiedział, kiedy do mnie podszedł – Wiedziałem, że jesteś dobra, ale nie spodziewałem się takiego rezultatu podczas pierwszej próby.

Byłam ogromnie zdziwiona, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nigdy nie wierzyłam, że cokolwiek, prócz nauki, może pójść mi „bardzo dobrze”. Więc jedyne, co zrobiłam, to uśmiechnęłam się do niego i zapytałam:

– Jaki mam czas?

– 1:38 – odparł.

Też byłam zaskoczona. Jak na pierwszy raz – super. Wiem, że najlepszy wynik na takim dystansie wynosi około 52 sekundy, ale to dla zawodowców.

– Chcesz dołączyć do drużyny na dzisiejszych zajęciach i zobaczyć, jak to wygląda? – zapytał.

– Pewnie, że chcę – odpowiedziałam, już cała szczęśliwa.

Pływałyśmy jeszcze około dwóch godzin. Zajęcia wyjątkowo przypadły mi do gustu. Okazało się, że dziewczyny z drużyny są bardzo fajne. Zdecydowałam się do nich dołączyć na dłużej. Niestety, dostałam kartkę, którą musiał podpisać mój rodzic, ponieważ jestem niepełnoletnia. Byłam zawiedziona, bo nie chciałam nikomu nic mówić.

Mijały kolejne dni. Dwa razy w tygodniu chodziłam na treningi. A rodzice zbytnio się nie przejęli. Chyba było im obojętne, na co wykorzystuję swój wolny czas. Na szczęście bez problemu podpisali oświadczenie. Dzięki pływaniu zakolegowałam się ze wszystkimi dziewczynami, a z dwoma nawet zaprzyjaźniłam. Zrozumiałam, że nauka to nie wszystko i dobrze mieć kogoś, na kogo czasami można liczyć.

Na kolejnych zajęciach moje wyniki były jeszcze lepsze. Poza treningami musiałam popracować nad swoją kondycją, liczyła się każda sekunda, a więc i każda kropla potu. Po czterech miesiącach zrobiłam naprawdę ogromne postępy i całkowicie „zatraciłam się” w pływaniu. Pokochałam ten sport. I mimo że zaczęłam spotykać się ze znajomymi i chodzić regularnie na treningi, nie odbiło się to na ocenach. Udało mi się pogodzić wszystko, co dla mnie ważne.

Pewnego dnia trener ogłosił, że bierzemy udział w zawodach i z naszej 15-osobowej drużyny musi wybrać 3 dziewczyny z najlepszym czasem. Byłam pewna, że to jeszcze nie ten moment, że na razie nie będę startować. Za krótko trenowałam. Jednak, ku mojemu zdumieniu, załapałam się jako trzecia. Zawody miały odbyć się już za miesiąc. Postanowiłam więc, że dam z siebie wszystko. Zaczęłam dużo czytać o Motylii,

czyli Otylii Jędrzejczak – polskiej złotej medalistce w pływaniu. Wkrótce stała się ona dla mnie wzorem do naśladowania i to nie tylko w pływaniu, w życiu też. Chciałam być jak ona – pracowita, wytrwała i... najlepsza. Ćwiczyłam praktycznie codziennie, dwa razy w tygodniu z drużyną, raz na dodatkowej lekcji, którą trener zorganizował dla mnie, Zuzy i Łucji. W pozostałe dni sama przychodziłam na basen i pływałam do upadłego. O dziwo, moi rodzice nagle zaczęli się interesować tym, co robię. Poświęcali mi więcej czasu niż dotychczas, co było bardzo miłe. Jedynie Emilia nieco posmutniała.

Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany przeze mnie dzień – pierwsze w życiu zawody. Ogromnie podekscytowana przyjechałam na miejsce zbiórki i pojechaliśmy. Moi rodzice również się pojawili. Zabrali ze sobą Emilkę, która była ostatnio ciągle naburmuszona, a gdy mnie widziała, zmuszała się do lekkiego grymasu twarzy.

Okazało się, że płynę jako druga. Bałam się, że przyniosę sobie i trenerowi mnóstwo wstydu, że go zawiodę. Chciałam też pokazać rodzicom, na co mnie stać. Na tym właściwie najbardziej mi zależało. Wiedziałam jednak, że pozostałe zawodniczki też są dobrze przygotowane i będą walczyć. Nie liczyłam na wielki sukces, ale nie miałam też zamiaru zamykać listy. W wodzie nieco się rozluźniłam i gdy tylko usłyszałam gwizdek, nacisnęłam przycisk, i wystartowałam. Dopłynięcie do drugiego końca basenu zajęło mi całą wieczność. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ogromnie się zdziwiłam, kiedy sędzia ogłosił, że byłam druga w mojej grupie. To, jaki miałam czas, pozostało tajemnicą do końca. Byłam z siebie zadowolona, niezależnie od tego, jak miałyby zakończyć się te zawody.

Gdy trzecia, czyli ostatnia grupa, zakończyła pływanie, wszyscy zaczęli rozmawiać o wynikach. Po kwadransie sędzia był gotowy, aby je ogłosić. Stwierdziłam, że co będzie, to będzie. Pierwsze miejsce zajęła Łucja, z czego niezmiernie się ucieszyłam, a Maks szeroko się uśmiechnął i zaczął klaskać. Na podium stanęła również dziewczyna, która płynęła razem ze mną w grupie. Dopiero teraz okazało się, że znam ją z widzenia. Chodzi do mojego liceum i jest cheerleaderką. Gdy nadeszła pora na ogłoszenie trzeciego miejsca, czas jakby się zatrzymał. Wtedy usłyszałam swoje imię i nazwisko. Myślałam, że to jakaś pomyłka, ale gdy nikt nie wychodził na środek, zostałam lekko popchnięta przez trenera. Wyszłam na podium niezbyt świadoma tego, co się dzieje. A gdy znalazłam się obok Łucji, poczułam się niezwykle szczęśliwa i spełniona. Ciężka praca, którą włożyłam ostatnio w moje nowe hobby, poskutkowała tym, że zajęłam miejsce na podium. Najchętniej zaczęłabym skakać z radości. Otrzymałam medal i masę gratulacji. Rodzice nareszcie mnie pochwalili i mocno wyściskali. Dołączyła do nich Emilia, która nawet się popłakała... chyba z radości, a może z rozpaczy. Nieważne. No to super! Nie dość, że dzięki pływaniu wreszcie odnalazłam to, co lubię robić, to w dodatku poczułam, jak to jest mieć kochającą się rodzinę.

Po przyjeździe do domu powiesiłam nad łóżkiem swój (prawie) złoty medal, a po jego obu stronach dwie fotografie. Na jednej jest Otylia Jędrzejczak. Ta, której tak wiele zawdzięczam, choć ona nic o tym nie wie. Na drugiej moja rodzinka. Codziennie na nich patrzyłam i... rozumiałam, że jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. Teraz wiem, że nie można się poddawać, że trzeba dążyć do spełnienia marzeń. Dzięki ciężkiej pracy wszystko jest możliwe. Trzeba być jak Otylia-

-Motylia – uparta, konsekwentna i pracowita. Te cechy zdobyłam dzięki uprawianiu sportu, którego wcześniej tak nienawidziłam. Teraz jednak odgrywa on szczególną rolę w moim życiu i jestem pewna, że już tak zostanie.

Minęło pół roku od pierwszych zawodów pływackich. Nadal uczęszczam na treningi, bo wierzę, że największe sukcesy jeszcze przede mną...

Maksymilian Kulig

Mecz o przyszłość

Był piątek, trzydziestego pierwszego stycznia. Piotrek, jak zwykle, wstał rano i przygotowywał się do wyjścia do szkoły. Dziś czekał go trudny dzień ze względu na kartkówki i sprawdziany. Wydawało się, że dzisiejsze lekcje będą trwały cały dzień, co nie było dziwne dla ucznia ósmej klasy.

Piotrek bardzo interesował się sportem, ale najbardziej ciekawiła go koszykówka, którą trenował w pobliskim klubie. Podczas powrotu ze szkoły myślał już tylko o treningu, który go czekał. Po przyjściu do domu zjadł obiad, odrobił pracę domową i razem z tatą wyruszył w drogę. Trening przebiegł pomyślnie, trener był zadowolony z postępu, jaki w ostatnim czasie poczynił chłopak.

Kiedy Piotrek wrócił do domu, był tak wykończony, że nie zwlekając położył się do łóżka. Był typem marzyciela, toteż przez około godzinę rozmyślał, że chciałby kiedyś wspiąć się na poziom najlepszego polskiego koszykarza – Marcina Gortata – wieloletniego gracza najlepszej ligi świata NBA czy reprezentacji Polski, która w poprzednim roku dotarła do ćwierćfinału Mistrzostw Świata. Piotrek twierdził, że nie ma barier, których człowiek nie umiałby przeskoczyć, wy-

starczy determinacja i walka o swoje marzenia. Po tych przemyśleniach chłopak zasnął.

Przyszła sobota, która przebiegła bez większych niespodzianek. Niedziela natomiast miała przynieść wiele emocji, gdyż drużynę Piotrka czekał mecz ligowy. Spotkanie rozpoczęło się o godz. 12:00. Obfitowało w wiele wrażeń, wspaniałych akcji i niezapomnianych chwil. Drużyna naszego bohatera wyszła z tej batalii zwycięsko, a on sam został wybrany najlepszym graczem meczu. Poczuł się jak prawdziwy koszykarz, sięgający po mistrzostwo. Chłopak nie krył swojego zadowolenia, a po południu wraz z rodzicami świętował osiągnięty sukces.

Nadszedł wtorek czwartego lutego, dzień, który jest z pewnością jednym z punktów kulminacyjnych tej historii. Zaczniemy jednak od początku. Dzień jak co dzień, szkoła, powrót do domu, odrabianie zadania itd. Była godzina 17:00. Trening Piotrka właśnie się rozpoczął, a on wiedząc, że jest spóźniony, szybko się ubrał i razem z ojcem wyruszyli w drogę. O tej porze dnia jest duży ruch, ludzie wracają z pracy, a oni pędzili tak szybko, że nie wiedzieli, jak bardzo narażają siebie i innych na niebezpieczeństwo. Gdy byli już prawie na miejscu, latarnia oświetlająca drogę nieoczekiwanie zgasła. Prędkość samochodu była tak duża, że tata Piotrka nie mógł go opanować. Jakby tego było mało, z naprzeciwka nadjeżdżało kolejne auto, w którym kierowca również miał ograniczoną widoczność. Stało się to, co było nieuniknione – wypadek.

Piotrek wraz z tatą w wyniku uderzenia stracili przytomność. Na szczęście przechodnie zachowali zimną krew i od razu zadzwonili po pogotowie. Ratownicy natychmiast przetransportowali mężczyzn do pobliskiego szpitala. Kiedy o wszystkim dowiedziała

się mama Piotrka, od razu przyjechała, aby wspierać najbliższe jej osoby. Po jakimś czasie mężczyźni odzyskali przytomność. Na szczęście tata Piotrka wyszedł w kolizji cało, ale sam chłopak... Pierwsza diagnoza lekarzy: paraliż od pasa w dół. Chłopak powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się stało. W jego głowie pojawiały się pierwsze myśli. Nie były one zbyt optymistyczne. Nie wiedział, co go czeka. Nie chciał z nikim rozmawiać, nawet z własną matką. On po prostu zapadł się w sobie.

Nastał nowy dzień. Ten wesoły, zawsze uśmiechnięty, pełen optymizmu chłopak, pełen ambicji, energii do życia – „zniknął”. Jednak nie stracił tego, co napędzało go każdego dnia, dawało motywację do dalszej pracy i chęci do walki – marzeń. Po raz kolejny obudziła się w nim dusza marzyciela. Tym razem jednak nie rozmyślał, że chciałby w przyszłości zostać wielkim sportowcem, do którego po autograf będzie ustawiała się kolejka ludzi. Jego celem było stanąć na nogi, móc chodzić i wrócić do pełnosprawności. W tym momencie do sali szpitalnej wszedł lekarz:

– Witaj Piotrku – rozpoczął rozmowę doktor.

– Dzień dobry – odpowiedział chłopak.

– Nie będę ukrywał, że prognozy nie są obiecujące. Paraliż jest czymś, czego nie da się pokonać w przeciągu jednego tygodnia. Ty nie możesz teraz się poddać. Przed tobą długa droga, którą musisz pokonać – stwierdził lekarz.

– Mówiąc szczerze, doktorze, jestem w tym momencie zagubiony. Z jednej strony chcę zapaść się pod ziemię, a z drugiej wiem, że to nie koniec świata. Mam przy sobie rodziców, przyjaciół, którzy cały czas mnie wspierają. Wiem, że z ich pomocą dam radę, przełamię kolejną barierę – odpowiedział stanowczo Piotrek.

– Jesteś naprawdę mądrym chłopakiem. My jako szpital pomożemy ci, tak jak tylko będziemy w stanie. Razem damy radę, jestem tego pewny – powiedział pełen nadziei doktor.

– Mocno w to wierzę doktorze, dzięki za rozmowę – pożegnał się Piotrek.

– Do widzenia – odpowiedział lekarz.

Mijały kolejne dni. Piotrka codziennie nachodziły dziwne myśli, nie zawsze były one optymistyczne. Po tygodniach spędzonych w szpitalu chłopak wiedział, że będzie musiał przystosować się do życia na wózku inwalidzkim. Rehabilitację miał zaplanowaną na każdy dzień. Od czasu do czasu jeździł oglądać treningi i mecze swej drużyny koszykarskiej, która była jego największą pasją, a możliwość gry została mu zabrana w tak okrutny sposób. Piotrek jednak nie lubił użalać się nad sobą, postawił sobie cel, a w zasadzie obiecał sobie, że jeszcze kiedyś stanie na parkiecie i zagra w to, co tak naprawdę było jego „tlenem”. Powiedział sobie, że ten paraliż to tylko niefortunny przystanek w jego życiu. Niewątpliwie całe to zajście nie było tylko ciosem dla samego chłopca, ale też jego rodziny. Trudno z dnia na dzień przystosować się do nowej rzeczywistości, realiów codziennego życia.

Nadszedł dwudziesty piąty lutego, dzień na pewno wyjątkowy, gdyż Piotrek rozpoczynał rehabilitację. Słowo „rehabilitacja” znaczyła dla niego tylko jedno – walkę o przyszłość. Nie ukrywał swej radości, nie lubił siedzieć z założonymi rękami, nic nie robiąc. Przecież nogi same nie odzyskają czucia. Razem z tatą wstali rano i wyruszyli w drogę do szpitala. A stamtąd prosta droga do sali rehabilitacyjnej. Kiedy byli już na miejscu, Piotrek przywitał się z lekarzem, a ten przedstawił mu plan, jak przebiegać będzie każda jednostka

rehabilitacyjna. Chwilę później chłopak przystąpił do pierwszego ćwiczenia, a jego słowa poruszyłyby z pewnością niejednego człowieka: „To już ta chwila, dam radę, uda mi się, jeszcze kiedyś stanę, pokonam kolejną przeszkodę, nigdy się nie poddam”. Po tych słowach chwycił drążek i podciągnął się po raz pierwszy... Po raz drugi, trzeci, czwarty... widać było, jak dużo mu to sprawia bólu, ale też jak wielka jest jego determinacja. Przyszedł czas na brzuszki:

– Piotrek, spokojnie, nie wykonuj jak najwięcej, ale jak najlepiej – zasugerował rehabilitant.

– Wiem, doktorze, za każdym razem chcę dawać z siebie 100% – odpowiedział chłopak.

– Zaczynamy!!! – powiedział lekarz.

– I raz, dwa, trzy... dawaj Piotrek, jeszcze chwilę – powtarzał w myślach młodzieniec.

Godzinę później zajęcia dobiegły końca. Pan Henryk (bo tak właśnie nazywał się rehabilitant) nie krył zadowolenia z postawy Piotrka. Cieszył się, że jego podopieczny jest zawzięty, a jego ambicja, aby kiedykolwiek odzyskać czucie w nogach, jest ogromna. Dziśniejszy trening wprost wykończył chłopca, nie marzył o niczym innym niż o swoim ciepłym łóżku.

Czas, aby udać się w małą podróż w czasie. Minęły trzy miesiące. Życie chłopaka toczyło się bez większych niespodzianek. On, jak i jego rodzina przyzwyczaili się do nowej rzeczywistości. Jeśli chodzi o rehabilitację, to również przebiegała ona pomyślnie. Zauważalne były postępy Piotrka. Ćwiczył od poniedziałku do niedzieli. Nie było mowy o żadnej taryfie ulgowej. Jednak wydarzyła się rzecz przełomowa, której po tak krótkim czasie nie spodziewał się nikt. Na jednych z zajęć rehabilitacyjnych lekarz wykonał jedno z ćwiczeń, pod-

niósł nogę Piotrka do góry, a ten niespodziewanie powiedział, że coś czuje w jednym miejscu w prawej nodze. Ta wiadomość zdziwiła każdego. Chłopak wpadł w euforię. To bardzo podbudowało go psychicznie. Wiedział, że ma po co walczyć. Po ćwiczeniach lekarz zaprosił rodziców Piotrka na rozmowę:

– Dzień dobry – rozpoczął rehabilitant.

– Witamy – odpowiedzieli rodzice.

– Mam dla państwa dwie świetne wiadomości. Dziś na treningu Piotrek odzyskał czucie w okolicach łydki w prawej nodze. To jest ogromny postęp w tak krótkim czasie. Jeśli determinacja i ambicje chłopaka nie zmniejszą, to jestem pewny, że w przeciągu roku chłopak stanie na nogi – stwierdził doktor.

– Bardzo się cieszymy, to wielki krok do przodu. Jesteśmy pełni nadziei! – odpowiedzieli podekscytowani rodzice.

– Dziękuję za rozmowę – zakończył lekarz.

W tym momencie chciałbym poświęcić chwilę ludziom, którzy przez cały czas byli obok Piotrka. Po tym nieoczekiwanym zwrocie akcji w życiu chłopaka nikt się od niego nie odwrócił. Piotrek nie spotkał się z żadnym odrzuceniem ze strony rówieśników. Często spotykał się ze swoimi przyjaciółmi, aby porozmawiać na różne tematy. Koledzy z drużyny koszykarskiej również bardzo często go odwiedzali, aby porozmawiać o koszykówce czy sytuacji w klubie. Sam Piotrek powiedział: „Warto mieć przy sobie takich ludzi, którzy cię wspierają, a w trudnych chwilach potrafią pocieszyć. Gdyby nie oni, pewnie teraz leżałbym załamany w łóżku, nic nie robiąc w kierunku powrotu do zdrowia. Dali mi ogromny zastrzyk energii i to głównie dzięki nim w dalszym ciągu mam marzenia i nie zamierzam się poddawać”.

Pora po raz kolejny przenieść się w czasie. Za Piotrkim kolejne cztery miesiące, minęły wakacje, w czasie których ćwiczył dwa razy ciężiej. Był to piękny okres, którego kulminacją było to, że rehabilitacja przynosiła ogromne efekty. Można powiedzieć o swego rodzaju cudzie. Chłopak zaczyna już stawiać pojedyncze kroki. Jednak w tej części historii skupimy się na czymś innym. Dnia piątego września młodzieżowa drużyna Piotrka miała rozegrać pierwszy mecz ligowy w nowym sezonie. Chłopak postanowił wybrać się na ten mecz, aby zobaczyć w boju swych kolegów, lecz pod żadnym względem nie spodziewał się tego, co go spotkało. Chłopcy z jego drużyny wyszli na mecz w pięknych koszulkach z napisem: „Piotrek wracaj do zdrowia, wróć do nas!!!”. Te słowa niezwykle wstrząsnęły chłopakiem. Po wygranym spotkaniu kapitan klubu powiedział, że to zwycięstwo dedykują Piotrkowi. Po meczu nasz główny bohater zszedł do szatni swojej drużyny:

– Cześć. Jedyne, co chciałbym wam teraz powiedzieć, to dziękuję – oznajmił wzruszony Piotrek.

– Jesteś na ostatniej prostej przyjacielu, czekamy na ciebie na parkiecie – powiedzieli przyjaciele z drużyny.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Już stawiam kroki. Obiecuję, że w następnym roku znów razem zagramy – powiedział Piotrek.

– Do zobaczenia, trzymamy kciuki – pożegnała się drużyna.

I tak minął wrzesień, październik, listopad, grudzień i cały styczeń. Był czwarty lutego 2021r., dokładnie rok od feralnego wypadku. W chłopaku obudziły się wspomnienia, niestety te smutne, on nie zapomniał. Ale też sobie pomyślał, dlaczego los właśnie dziś nie miałby obrócić się w tę dobrą stronę. Jak zwykle wy-

brał się na jednostkę rehabilitacyjną. Wszystko powoli zmierzało w dobrym kierunku, a kondycja fizyczna chłopaka stawała się coraz lepsza. Jednak dzisiejszego dnia nastąpiła diametralna zmiana. Po wejściu na salę poczuł jakąś niesamowitą siłę, on wiedział, że to jest ten dzień. Po serii ćwiczeń oznajmił rehabilitantowi, że chciałby coś pokazać, po czym samodzielnie przeszedł całą długość pomieszczenia:

– Udało się !!! – wykrzyknął Piotrek.

– Jestem dumny – odpowiedział szczęśliwy rehabilitant.

– To koniec życia na wózku, koniec jakichkolwiek ograniczeń, nie mogę znaleźć słów – powiedział chłopak.

– Mam powody do radości, ale jeśli chcesz znów zagrać w koszykówkę, przed tobą jeszcze parę miesięcy ćwiczeń. Jednak po tym, co już osiągnąłeś, jest to mały kawałek drogi, którą już praktycznie pokonałeś – zakończył lekarz.

I tak historia zatoczyła koło. Piotrek wygrał życie, marzenia. Pokonał przeciwności losu, nie poddał się, pokazał, że jest prawdziwym wojownikiem. Na horyzoncie powrót do koszykówki, ale do spełnienia tego marzenia pozostał mały krocze. Dzięki swojej pracy znów może chodzić. Może robić coś, za czym tęsknił każdego dnia, gdy poruszał się za pomocą wózka inwalidzkiego. Zrobił coś, co wydawało się niemożliwe. Dowiódł, że prawdziwym stwierdzeniem są słowa: „Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”.

Marta Obrębska

Biegnij! Karola, biegnij!

Karola, czekamy na podbój Tokio!

Cześć, to znowu ja, Marta. Pamiętacie mnie? Jeśli nie, to zajrzyjcie do opowiadania *Czasem to trudne, ale mierzę wysoko*, a dowiecie się, jak to wszystko się zaczęło. Jeśli tak... Witajcie ponownie.

Minął rok. Dalej chodzę do szkoły sportowej i trenuję koszykówkę. Myślałam (i wy pewnie też), że skoro jestem starsza (i bardziej doświadczona) będzie łatwiej. Wiecie co? Nie jest. Trenerka więcej wymaga, koleżanki z innych drużyn również są starsze (i lepsze) i nie próżnują. Powtarzam sobie, że gdy mierzy się naprawdę wysoko... A jak nie powtarzam, to trenuję, bo tylko ciężka praca na treningach przyniesie efekty, a żeby utrzymać się na dobrej pozycji, trzeba trenować i jeszcze raz trenować. A jak nie trenuję, to chociaż robię dobrą minę do złej gry (że tak powiem). Przecież nie przyznam się przed koleżankami z drużyny, że nie mam siły albo mam kiepski dzień, albo (co najgorsze), że przegrywam z najtwardszym zawodnikiem, zwanym wewnętrznym leniem. Już wydaje się, że mam go z głowy, a tu znowu... Na parkiet wchodzi... Lenistwo!!! Czasami nawet przyprowadza ze sobą resz-

tę drużyny: z numerem pierwszym ból mięśni, za nim ból rąk, nóg i cała reszta ekipy!!! Ktoś jeszcze ich zna? Słyszałam, że są popularni wśród wszystkich sportowców, ale dowodów nie mam, bo nikt się do tej znajomości nie chce otwarcie przyznać. Wszyscy są super i nie do zdarcia. Przynajmniej wśród rówieśników. My jesteśmy twardzi, my nie mówimy o słabościach, bo jesteśmy... chyba niedojrzali.

Czytałam kiedyś wywiad z Marcinem Gortatem, który w prostych słowach opowiedział o tym, że czasem coś boli po ciężkim meczu, a nawet przychodzi zmęczenie, o tym, jakie wyrzeczenia poniósł, by być tym, kim jest. No więc i ja ponoszę, a przynajmniej próbuję. Wdrapuję się powoli po szczebelkach „kariery” i choć nie jestem tak znana, jak Marcin Gortat (właśnie), Mateusz Ponitka czy Kacper „Kacpa” Lechowicz i wielu innych słynnych koszykarzy, którzy to dopiero mogliby opowiedzieć o drodze do kariery, to i o mnie już mówią (a przynajmniej szepczą) w szatniach. Przedmeczowe „uważaj na osiemnastkę. To jest ten ich upierdliwy center!” – brzmi w moich uszach jak muzyka. Słyszeliście? Nie jestem anonimowa! I trzeba na mnie uważać!

I wiecie, kto jeszcze nie powinien być anonimowy? Na kogo powinniście uważać? Na Karolinę (a już pewnie myśleliście, że ta opowieść będzie o mnie. Znowu... Czas na prawdziwą bohaterkę!).

Karolina* urodziła się z czterokończynowym mózgowym porażeniem dziecięcym z atetozą, czyli MPD (dla tych, którzy nie lubią długich nazw albo lubią skróty). Brzmi prawie jak wyrok. Tylko na co? I dla

* Karolina Szade, urodzona 22 lutego 1991 r. w Łodzi z mózgowym porażeniem dziecięcym (MPD).

kogo? A okazało się... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Gdy minął szok, niedowierzanie, przerażenie, a nawet walka z zabobonami, mama Karoliny podjęła nierówną (bo z wieloma wrogami) walkę o swoją córkę. Dziewczynka rozpoczęła ciężką rehabilitację, która ciągnęła się latami, ale „dzięki której, po kawałku, wydierały fragmenty sprawności”. Z tych fragmentów, jak z puzzelków, układały całość, w której Karolina mogła być choć trochę samodzielna. I gdzieś między klockiem z chodzeniem, parzeniem herbaty i innymi ważnymi sprawami, któraś z nich wpadała na pomysł, że Karola będzie uprawiać sport. Która? Żadna z nich nie pamięta. Ważne, że pojawiła się myśl. Tak! Właśnie dziewczyna z MPD będzie sportowcem. I choć los obstał przeciwko nim, postanowiły zagrać. Bo przecież nie miały nic do stracenia. Bo każdy ma prawo do marzeń, nawet jeśli cierpi. Bo marzeń nie wolno lekceważyć, a tych Karola miała w nadmiarze.

Ale jak to ktoś mądry powiedział: „Marzenia się nie spełniają, marzenia się spełnia”, więc w Fundacji Złotowianka mama i Karolina znalazły osoby, które chciały i mogły pomóc. I razem zaczęły spełnianie.

Karolina jeździła na turnusy rehabilitacyjne do Zabajki. Tam czuła się najlepiej, wszyscy byli tacy sami. Nikt krzywo nie patrzył i nie litował się nad nią z byle powodu. Nie było tej fałszywej litości, która czasami przechodzi w pogardę, a której Karolina najbardziej nie lubi. Karo rozpoczęła treningi z *Racerunning* (ten sport został wymyślony przez niepełnosprawnego Duńczyka. Ciekawe czy Mansoor Siddiqi spodziewał się, że jego wynalazek znajdzie tak szerokie grono odbiorców?). Chociaż szczerze mówiąc... kiedy Karolina po raz pierwszy ujrzała trzykołowy rower bez pe-

dałów, chciała wiać, gdzie przysłowiowy pieprz rośnie. W głowie kołatała jedna myśl „Nie dam rady, ja przecież mam MPD” (kto jej nie zna, to może i by w to uwierzył). Ale że jest bardzo upartą osobą...

Karolina złapała bakcyła. Stadion lekkoatletyczny stał się jej drugim domem. Kiedy ja w hali ćwiczę atak obronę, rzuty i zagrywki, ona biega. I to ja się obijam, bo trening w przypadku Karo liczy się podwójnie – by poruszyć tego trójkołowego potwora, trzeba odpychać się nogami, a właściwie palcami, od podłoża. Wyobrażacie to sobie? To przy okazji wyobraźcie sobie, że przy atetozie należy dodatkowo zapanować nad mimowolnymi ruchami kończyn górnych, a to nie ułatwia zadania. Nie oszukujmy się, były dni, gdy miała wrażenie, że nie ma nóg, tylko kłody, a stopy ważą tonę. Kiedy odechciewało się jej wszystkiego. Ale marzenia są najlepszym dopingiem, a dodatkowo nie mogła zawieść swoich najwierniejszych kibiców – mamy, trenera, fizjoterapeuty. Zaciskała zęby i... w końcu poczuła wiatr we włosach. Mogła robić to, co zdrowi ludzie. Osoba z porażeniem mózgowym zaczęła biegać.

Trenerzy uznali, że jest gotowa do startu w zawodach. W 2016 roku w Danii rozpierała ją duma, gdy stanęła na starcie w barwach narodowych. Z lokaty już nie była zadowolona, była siódma na stu zawodników z innych krajów. Dla niej to było zdecydowanie zbyt daleko za podium.

Żeby było lepiej, trzeba więcej trenować, a tylko regularne treningi w Łodzi mogły przynieść rezultaty. Oczywiście było to, że kupią rower. Brzmi prosto? Uwierzcie, wcale takie nie było. Ruszyła wielka zbiórka. I tylko dzięki ludziom, dla których marzenia Karoliny stały się najważniejsze, udało się uzbierać tę niebagatelną kwotę. I tylko dzięki nim, znowu w Danii,

w 2017 roku Karo prawie zdobyła brązowy medal. Prawie... Ale rok później już bez „prawie” srebrny medal w biegu na 100 metrów w Mistrzostwach Polski Paralelkoatletów w Bydgoszczy („Mój pierwszy medal” – podkreśla Karolina) i duński (wreszcie!) brąz – podwójny (żeby sobie zrekompensować) na 400 i 800 metrów. Kolejny rok, kolejne obozy, kolejne medale (srebro na 100 metrów i złoto na 400 metrów na Grand Prix Word i Mistrzostwach Polski Paralelkoatletów w Bydgoszczy).

Ta historia nie ma jeszcze końca. Karola trenuje, jest na tyle samodzielna, że można ją spotkać na jednym z łódzkich osiedli, gdy biega. Mieszkańcy życzliwie jej kibicują, a dla dzieciaków jest wzorem, że można coś osiągnąć mimo niepełnosprawności. Ciągłe walczy, i ciągle się uśmiecha, nie tylko o marzenia. I biegnie... Igrzyska Olimpijskie w Tokio już niedługo.

Kinga Pieterwas

O czym szumią stadiony

– Mamo, mamo – wycieczka! – wpadłam do domu rozradowana. Chwila przerwy w nauce?! Kto by się nie cieszył!

– Jedziemy do Warszawy na jeden dzień, wycieczka pod hasłem: „Szlakiem zwycięzców”. Lubię te klasowe wyprawy, żywe lekcje historii z naszą panią wychowawczynią. Zawsze jakby mądrzejsi, dojrzalsi po nich wracamy.

– Będziemy na Stadionie Narodowym – Na-ro-do-wym! Słyszysz, mamo?! Byłaś tam kiedyś? Przecież grałaś w piłkę ręczną, miałaś orzełka, polskie godło na koszulce sportowej. Jak to było? Kiedy? – zasypywałam ją pytaniami.

– Zaraz, zaraz, powoli, odpowiem ci. Co chcesz wiedzieć?

– No jak to było, kiedy zaczęłaś grać, czemu teraz nie strzelasz goli?

Mama zaczęła opowiadać. Wsłuchiwałam się w opowieść o dziewczynce z małego miasteczka i nieopisanej pasji trenera, o latach pracy, wyrzeczeń i sukcesach, wygranych meczach – wicemistrzostwie Polski juniorek, wyjeździe z domu rodzinnego na drugi koniec Polski, by reprezentować swój kraj w kadrze

Polski piłkarek ręcznych. I tak mnie niosła jej opowieść: o dumie, wysiłku, pokonywaniu własnych barier, i słabości. A potem zaszklify się oczy mojej Mamy, bo krótko wspomniała o kontuzji kolana, i poczułam, jak spadam na ziemię i dotykam rzeczywistości.

Przytuliliśmy się mocno...

Czy to koniec? Porażka! Nie. Nie poddała się. Teraz uczy, jak pokonywać bariery technik pamięciowych, szybkiego czytania ze zrozumieniem, uczy, jak pokonywać granice własnego umysłu. Wola walki pomogła jej w znalezieniu innej drogi rozwoju.

Przypominam sobie tę rozmowę, siadając na murawie Stadionu Narodowego – jaki ogrom przestrzeni, prawie słyszy się doping kibiców. Czuję ogromny wysiłek sportowców. Tyle różnych historii pojedynczego człowieka, tyle dróg, by tu dotrzeć i brać udział w igrzyskach sportowych, olimpijskich, przekraczać własne bariery, granice...

Otula mnie lekki wiatr i słyszę opowieść o ich losach, jak bym ich dotykała, znała.

– A wiesz, dziewczynko, że tu był kiedyś inny stadion? Stadion Dziesięciolecia, nie było cię jeszcze na świecie i twojej mamy też. Twój dziadek był na tym stadionie, w tym miejscu – jak ty teraz.

Szumi opowieść o świetnych polskich sportowcach: Irenie Szewińskiej – lekkoatletce, zdobywczyni największej liczby medali olimpijskich; Robertcie Korzeniowskim, zdobywcy czterech złotych medali, i szczególnie mi bliskiej Otylii Jędrzejczak, złotej medalistce olimpijskiej. I wzbijam się w powietrze na skrzydłach pięciu kół – znaku olimpijskiego, i ogrzewa mnie ogień znicza, i rozpiera duma, gdy grają Mazurka Dąbrowskiego.

– Ale słyszałem – szumi stadion – i o innym przekraczaniu własnych barier i granic, tu, właśnie tu, na dawnym Stadionie Dziesięciolecia. Tu był twój dziadek, dziewczyno, to był czas zniewolenia narodu polskiego. Czas głębokiej komuny, czas, gdy każdy miał w sobie swój stadion olimpijski i wybierał drogę: albo wygodną, pogodzoną z brakiem nadziei na całkowitą wolność Polski, albo nie poddawał się. Potrzeba wolności unosi się w powietrze na skrzydłach pięciu kół – znaku olimpijskiego. Od tego są stadiony, by przekraczać własne bariery i granice. I tu twój dziadek jako student AWF brał udział w pokazach sportowych w 1979 roku. Wspólnie z innymi studentami z całej Polski, wiezionymi na Stadion Dziesięciolecia, równo stanął w szeregu i zaprezentował granice Polski przed ówczesnymi władzami komunistycznymi. Krzyknęli: „Lwów jest nasz!” i przemieściła się setka młodzieży niepokornej, płacąc za ten czyn wyrzuceniem ze studiów. Później ducha sportowej walki ujawnili walcząc o lepsze jutro. Zakładali związki zawodowe Solidarność w zakładach pracy, często byli internowani lub wyrzucani, jak twój dziadek, z pracy. To był ich stadion, to była ich walka – najwyższa – olimpijska. Ceną była złamana kariera sportowa, brak środków do życia rodziny, a nagrodą duma z przekraczania własnych barier i granic. Rezygnacji z codziennego wygodnego życia.

I rozszumiał się stadion, i powiało tak mroźnie, bo opowiedział o polskim patriocie Ryszardzie Siwcu, który tu, na tym miejscu, w 1968 r., w trakcie protestu przeciwko wejściu wojsk polskich i radzieckich do Czechosłowacji, by stłumić odruch dążenia do wolności, oblał się benzyną i podpalił. Poświęcił życie, byśmy pamiętali, że wolny duch fruwa, a nie czołga się unizony.

– Tego są świadkiem stadiony, dziewczyno, to widzimy, w tym pomagamy, by unieść człowieka ponad jego granice.

– Zbiórka! Zbiórka! Wychodzimy ze stadionu – usłyszałam z daleka głos koleżanek.

Otrząsnęłam się, co to było, czy mi się coś przyśniło? Nie. My nasiakamy tym sportowym duchem, każdy z nas nosi w sobie swój stadion olimpijski, na swój sposób zdobywa na nim medale, przekraczając własne bariery i granice. Jak moja babcia, która w czasach szkolnych brała udział w różnych sportowych zawodach, teraz zdobywa swój złoty medal w opiece nad niepełnosprawnym dziadkiem, opiekując się nim już przez szesnaście lat. To jest jej stadion olimpijski, to jest nauka wypływająca z zawodów, z ciężkich treningów. Tego uczy sport.

Chodzę do szkoły podstawowej, do klasy o poszerzonym programie nauczania z zakresu pływania. Za tydzień jadę na wojewódzkie zawody pływackie. Najwyższe zawody w moim życiu sportowym. Zdobyłam już kilka złotych i srebrnych medali w eliminacjach powiatowych. Przede mną zawody na różnych stadionach – może narodowych, może olimpijskich... Teraz już wiem, już usłyszałam. Każdy nosi w sobie swój stadion olimpijski, gdzie z własnego wyboru albo wzlata i przekracza własne bariery i granice, albo upada. Od niego zależy, jak się podniesie i czy sięgnie po medal.

Jest rok 2020. 15 marca. Olimpiada ma się odbyć w Tokio 24 lipca. Stadiony olimpijskie w Japonii są przygotowywane na przyjęcie najlepszych sportowców. Słyszę i widzę, jaka tragedia odbywa się na całym świecie. Mały i niewidoczny koronawirus jest przyczyną choroby i śmierci tysięcy ludzi. Przeczuję, że olim-

piada może być odwołana i sportowcy nie będą walczyć o medale na stadionie olimpijskim.

Czuję, że stadion olimpijski w roku pandemii nie znajduje się w Tokio. Teraz stadionem jest cały świat i każdy jest uczestnikiem tej walki. Mimo że nie sportowej, to olimpijskiej. Bohaterscy lekarze przełamują granice własnego lęku i leczą zarażonych. Strażacy, wojsko, policja – pomagają ludziom. Rząd, prezydent podejmują trudne decyzje, chroniące ludzi przed rozprzestrzenianiem się choroby. Budzi się w nas wielki duch solidarności, odpowiedzialności za los innych. Nawet niewielkie gesty są teraz na wagę złotych medali.

Dzisiaj udowadniamy, że olimpiada to nie tylko sport, ale przełamywanie własnych barier, granic, lęków. Najważniejsze trofea, jakie są do zdobycia każdego dnia pandemii, to zdrowie i życie.

Zwyciężymy.

Karolina Stefaniak

Marzenie na kółkach

Cześć, mam na imię Dominik. Właśnie spisuje się tutaj historia Wielkiego Sportowca! No, może nie jestem nim jeszcze teraz, ale kiedyś na pewno mi się uda! Siatkówka, piłka ręczna, piłka nożna... O! Najbardziej lubię koszykówkę! Oglądanie zawodów, olimpiad w telewizji jest jednym z moich ulubionych zajęć. Co prawda starszy o dwa lata brat (gra w szkolnej drużynie siatkarskiej) mówi mi, że najlepszym sportem dla mnie będą szachy, ale mimo to nie zamierzam się poddawać! Na pewno jeszcze kiedyś zobaczy mnie na boisku, a wtedy cofnię swoje słowa!

Niestety, na wuefie też nie pozwalają mi szlifować moich umiejętności, ale mam piłkę do koszykówki w domu, codziennie ćwiczę kozłowanie i rzuty do kosza, który wisi na jednej z zewnętrznych ścian naszego domu. Pamiętam jak – gdy byłem jeszcze bardzo małym dzieckiem – tata grał z moim bratem na podwórku, a ja siedziałem w domu z mamą, przyglądając im się przez okno. Nigdy nie byłem zły ani na brata, ani na tatę, ani nawet na mamę, choć to ona jest najbardziej przeciwna spełnieniu mojego marzenia. Zabawne, oni wszyscy również – jak ja – pasjonują się sportem, ale nikt poza tatą nie wspiera mnie w moim marzeniu.

Tata kocha jeździć na nartach zimą, a latem bardzo chętnie gra z Michałem (bo tak ma na imię mój brat) w piłkę nożną. Mama rozmiłowana jest w łyżwiarstwie i biegach, za to mój brat, jak już wspomniałem, uwielbia siatkówkę. Niestety, żadne z nich nigdy nie chciało, bym poodbijał z nimi piłkę, a to przecież mogę robić bez problemu.

Przypomniała mi się teraz pogawędka, którą odbyłem z ojcem kilka tygodni temu. Usiedliśmy przy kuchennym stole, sączyliśmy aromatyczną herbatę i zaczęliśmy rozmowę, która odmieniła mój pogląd na całą moją rodzinę.

– Słuchaj, Dominik. To nie tak, że nikt nie chce tu twojego szczęścia, ale Michał i mama mają rację. Najlepiej dla ciebie będzie pozostać przy szachach. To przecież też jest sport, nie? – wyglądał na zmartwionego, jakby mi współczuł.

– Nie, nie chcę o tym już więcej słyszeć – pamiętam, że mówiłem nad wyraz spokojnie. – Będę grał w kosza, czy tego chcecie, czy też nie.

Tutaj tata próbował przerwać mi swoimi: –Ale Dominik, ty przecież nie możesz – choć dobrze wiedział, że niczego to nie zmieni. Zamierzałem uciec do swojego pokoju, na przekór im wszystkim odbijać piłkę, ale wtedy odezwał się jeszcze raz – tych kilka wypowiedzianych przez niego później słów sprawiło, że odzyskałem w niego wiarę.

– Zaczekaj, zaczekaj! Nie dałeś mi dokończyć. Chcę jeszcze wspomnieć, że nieważne, czy odpuścisz, czy też nie, będę cię zawsze wspierał. Wszyscy chcemy twojego dobra, ale sam dobrze wiesz, że sport w twoim stanie nie jest najlepszym rozwiązaniem.

W tej chwili zdenerwowałem się na tyle, by przerwać mu w pół zdania: – Wystarczy. Ciesz się, że

choć tyle, ale nie zamierzam odpuszczać. Będę grał, nieważne, czy mogę ruszyć nogą, czy nie! Do koszykówki używa się też rąk, wiesz? – zniknąłem z pomieszczenia, ponieważ nie chciałem dalej wysłuchiwać sprzecznych ze sobą rzeczy. Wróciłem do siebie i ćwiczyłem kozłowanie do późnego wieczora.

Właśnie! Chyba zapomniałem wspomnieć, że moje nogi są całkowicie sparaliżowane. Jeżdżę na wózku, a każdy wf. spędzam na oglądaniu gry moich znajomych z klasy. Znajomych, bo tylko nielicznych z nich nazwać można kolegami. Przez moją niepełnosprawność uważają, że jestem gorszy, tak mi się zdaje. Nie wielu z nich chętnie ze mną rozmawia, no, chyba że Kamil, brunet o szmaragdowych ślepiach, które jeszcze nigdy nie spojrzały na mnie z wyższością. Choć nie podzielał mojego żywego zainteresowania sportem i wołał raczej literaturę, to nietrudno było nam się dogadać. Zawsze znalazł się jakiś temat, na który mogliśmy dyskutować kolejne godziny.

Na przykład dosyć często zdarzało nam się mówić o Beacie, która uwielbiała wręcz naśmiewać się z mojej niemożności chodzenia. Kpiła z mojego wózka i nóg, a my między sobą z niej żartowaliśmy, by nikt nas przypadkiem nie usłyszał (stracilibyśmy całkiem życie w szkole, ponieważ dziewczyna była dosyć popularna, choć nikt nie wiedział dlaczego). Rzucaliśmy luźne zabawne zdania na temat jej wielkiego nosa albo zdecydowanie zbyt długich włosów, które swoją drogą przypominały wszystkim siano. Nie obyło się także bez nadania jej przezwiska używanego tylko przez nas dwóch, a mianowicie „Pomarańczka” z powodu jej skóry właśnie w tym odcieniu – efekt zamięłowania do samoopalaczy.

Całe szczęście, nie każda z dziewczyn zachowywała się jak wymieniona wcześniej blondynka o piwnych oczach. Bardzo miła wobec mnie była Alicja, choć nieczęsto nadarzała nam się okazja do rozmowy – zdecydowanie zaliczyć ją można było do grona tych tak popularnych jak „Pomarańczka”, przez co na każdej możliwej przerwie zbierała się wokół niej dosyć spora grupka ludzi, z którymi wesoło, żywo konwersowała aż do dzwonka na kolejną lekcję. Choć nie grała w żadnej drużynie szkolnej ani nie brała udziału w zawodach sportowych, to jej lazurkowe oczy błyszczały wesoło na każdej lekcji wychowania fizycznego, gdy rude, krótkie warkoczki podskakiwały przy odbiciach piłki podczas gry w siatkówkę. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o niej zbyt wiele, ale każda z odbytych z nią rozmów była dla mnie miłym wspomnieniem. Pamiętam, jak kiedyś pochwaliła moją wytrwałość, gdy powiedziałem jej o swoim marzeniu.

Dobra, dość o Alicji! Miała to być historia Wielkiego Sportowca, a nie opowiadanie o jego przyjaciółach, nie? Choć właściwie grają oni tutaj dosyć istotną rolę, tak sądzę... Nie wiem, nie nadaję się do pisania, jestem w końcu sportowcem, a nie pisarzem!

Zapomniałbym, a chyba warto wspomnieć to wydarzenie w tym już i tak wystarczająco chaotycznym spisie. Swego czasu (około rok temu) nie czułem się na siłach, by grać. Kozłowanie i rzuty do kosza przestały sprawiać mi przyjemność, odciąłem się od sportu całkowicie, a moje oceny w szkole poleciały na łeb na szyję, przez co rodzice zamartwiali się, że nie zdam do kolejnej klasy. To właśnie wtedy z pomocą przyszła mi Alicja – umknęła grupce swoich przyjaciół i podeszła do mnie z pytaniem o moje samopoczucie.

Wpatrywałem się w nią z niemałym zmieszaniem. Nie wiedziałem, co powinienem jej odpowiedzieć. Siedziałem w ciszy, podczas gdy przysiadła na ławce obok, by nie onieśmielać mnie tym, o ile wyższa była, stojąc. Wodziłem wzrokiem od jasnoniebieskich wstążek utrzymujących jej warkoczyki, przez spódnicę w podobnym im kolorze, aż do srebrnych oprawek okrągłych okularów (tak, by uniknąć zmartwionego spojrzenia jej seledynowych tęczówek) i zatrzymałem się na nosie, który zdobiło kilkadziesiąt piegów. Uznałem go za najlepsze miejsce do patrzenia, by nie wyjść na niegrzecznego ani nie czuć się źle przez przenikliwe spojrzenie rzucane spod kurtyny ciemnych, długich rzęs z niemałym zmartwieniem.

– Dominik? – moje własne imię jeszcze nigdy nie zabrzmiało dla mnie tak trzeźwio jak wtedy. Jedyne, na co mogłem się zdobyć w tamtym momencie, było ciche, niepewne:

– Tak?

– Widzę, że coś jest nie tak. Może nigdy nie byłeś wybitnym uczniem, ale widok twojego przygnębienia po każdym możliwym sprawdzianie, a nawet i bez nich, jest dobijający. Absolutnie nie każę ci udawać szczęśliwego na siłę, bo to jest okropne, ale jeśli podzieliłbyś się ze mną swoim problemem, może byłoby ci lepiej?

Tymi właśnie słowami zmusiła mnie, bym zerknął w jej szmaragdowe oczy, przepełnione chęcią niesienia pomocy. Ugiąłem się pod ich w pełni zdeterminowanym spojrzeniem – powiedziałem rudowłosej znajomej z klasy o wszystkim, co mnie trapiło. Mojej pasji do sportu, braku wsparcia rodziny (jedyne tatę miałem po swojej stronie), docinkach Beaty i jej koleżanek, ogólnie doskwierającej mi w tamtym okresie samotno-

ści... A ona słuchała. Nie zadawała żadnych zbędnych pytań. Nie dziwiła się. Nie odradzała. Słuchała.

Od tamtej chwili została moją powierniczką, przyjaciółką. Znajdowała czas na codzienne rozmowy ze mną, choćby przez telefon, gdy w szkole nie mogła się uwolnić od towarzystwa. To był właśnie ten istotny w moim życiu moment, przełom – z dołu emocjonalnego wyciągnęła mnie dziewczyna. Sekundował jej Kamil. To oni sprawili, że każda możliwa rzecz odzyskała swoje wyraźne, wesołe wyglądające barwy, a ja ze spokojem mogłem oglądać kolejne zawody, w których brał udział mój brat.

Całą rodziną siedzieliśmy na szkolnych trybunach w jeden z wiosennych weekendów, dopingując swoją drużynę i wściekając się na „sędziego” z innej szkoły, który wyraźnie oszukiwał. Tutaj nie zaliczył linii, tam przymknął oko na zbyt wiele odbić po drugiej stronie, ale nikt nie reagował. Gra była oczywiście nieuczciwa, z czym nie mogli się pogodzić ludzie siedzący wokół mnie. „To oburzające!”, „Przecież oni wyraźnie odbili pięć razy!” – dawało się słyszeć zewsząd niezadowolenie, jednakże nikt nic z tym nie robił. Siedząca obok mnie Alicja, nie kryjąc irytacji, żywo wykrzykiwała niezbyt pochlebne dla sędziego słowa, a będący obok Kamil patrzył na nią bezradnie, nie wiedząc, co powinien uczynić. Moi rodzice również nie ukrywali swojej złości, tak więc moja rudowłosa przyjaciółka bardziej przypominała ich dziecko niż ja.

Zawody, mimo że do pewnego momentu przeprowadzane w sposób nieuczciwy, nasza szkoła wygrała. Jeden z rodziców po dostrzeżeniu tak wielu oszustw wymusił zmianę „sędziego”, dzięki czemu gra mogła odbywać się w pełni uczciwie. Jestem w stanie

przypomnieć sobie przepełniającą mnie wtedy irytację, której za nic w świecie nie chciałem dawać upustu tak głośno, jak moja przyjaciółka lub rodzina. Od razu po powrocie do domu, ku mojemu niemałemu zaskoczeniu, Michał zaproponował mi ćwiczenie odbić. Wtedy to właśnie, w ósmej klasie, zacząłem trenować w domu z bratem. Mama nadal nie była przekonana do tego pomysłu, tata starał się mnie wspierać, jak najbardziej mógł, a domowy specjalista w dziedzinie siatkówki był jakby bezstronny, choć sam bez słowa wyjaśnienia zaczął proponować mi szlifowanie umiejętności koszykarskich, a także siatkarskich. Zapytany o powód nagłej zmiany zdania, zbywał mnie krótkimi, wymijającymi odpowiedziami. Któregoś wieczoru niechcący podsłuchałem kłótnię Michała z mamą. Nie pamiętam, co dokładnie mówili, ale było to mniej więcej coś takiego:

– Nie powinieneś robić mu nadziei, to okrutne. Dobrze wiesz, że nie będzie z niego żadnego sportowca – lodowaty, ostry ton mojej matki przeciął powietrze niczym brzytwa. Nigdy jeszcze nie słyszałem, by odnosiła się do kogoś tak zimno i oschle. Nie poznawałem własnej mamy.

– Nie robię nikomu żadnej nadziei, mammo. On naprawdę dobrze gra w kosza, wiesz? Masz świadomość, że istnieją drużyny składające się z osób niepeł...

Nie chcąc dalej słuchać, mama wrzasnęła na niczego niespodziewającego się brata:

– Cisza! Nigdy w życiu nie pozwolę, by grał w takiej drużynie, rozumiesz? To dla niego niebezpieczne, czy naprawdę ty i wasz ojciec kompletnie tego nie widzicie?!

Moje zdanie o mamie zmieniło się raz jeszcze, przypisałem jej nową cechę – nadopiekuńczość. Za-

jęła ona miejsce kilku innych, negatywnych oczywiście, więc zawsze było to jakąś poprawą. Nie miałem z nią zbyt dobrych stosunków już od dłuższego czasu, wszystko przez mój upór i konsekwencję w dążeniu do celu.

– Nie zgadzam się z tobą. Może jeszcze nie dziś, nie jutro, ale kiedyś Dominik na pewno będzie grał, a ty, mammo, nie będziesz miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Wyczuwając, że zaraz będzie szedł w moją stronę, zniknąłem w łazience, do której drzwi było mi najbliżej. Tego dnia zrozumiałem niespodziewaną, tak nagłą zmianę zdania u mojego brata, więc do grupy ludzi stojących po mojej stronie: Alicji, Kamila i taty zaliczyć mogłem jeszcze Michała.

Dni mijały mi względnie spokojnie, może pomijając kość niezgody stojącą między mną a mamą, przez co odnosiła się do mnie coraz mniej przyjaźnie – to samo dotyczyło brata i taty, których także uznała za swoich wrogów. Dostyc często się kłócili, oczywiście z mojej winy, bo gdyby nie moje gonienie za marzeniem, nic takiego by się nie działo.

I tutaj nastąpiła następna chwila zwątpienia – czy warto ryzykować relacje rodzinne dla jakże niepewnego i naiwnego celu? Ponownie dopadły mnie wątpliwości, myśli, których nijak nie mogłem pozbyć się ze swojej głowy. A napięcie między członkami mojej rodziny rosło z każdym mijającym dniem coraz bardziej i bardziej, aż w końcu nie wytrzymałem, zebrałem wszystkich i oznajmiłem z bólem, że... odpuściłem. Kończąc ze sportem. Zdumieniu mamy, taty i Michała nie było końca. Spojrzeli po sobie nawzajem, po czym dopytywali o przyczynę takiej decyzji. Powiedziałem,

że mnie to nudzi i że to naprawdę koniec. Uciekłem do siebie, całkiem wtedy jeszcze nieświadomy, że wszystko tylko pogorszyłem – w domu rozpoczęła się prawdziwa wojna.

Oczywiście nikt nie uwierzył w moje znudzenie, obwiniali się wzajemnie i przestali odzywać już całkiem, gdy tylko to nastąpiło, kończyło się kłótniami. Aż do wakacji w domu utrzymywała się ta nieprzyjemna atmosfera, a ja przecież tylko chciałem naprawić, co zniszczyłem...

Wreszcie się odważyłem.

Zwołałem rodzinę do kuchennego stołu raz jeszcze, chcąc zrobić w domu porządek i wyjaśnić zaistniałą, okropną sytuację. Gdy tylko skończyłem swój monolog, tłumaczący, dlaczego na dłuższy czas zrezygnowałem z marzenia, mama wydawała się poruszona. Przytuliła mnie bez słowa, po dłuższej chwili namysłu dodając, że musi sobie to ułożyć w głowie, dokładnie przemyśleć.

Długo zwlekała i unikała tematu, ale niedawno przyszła do mnie, usiadła na łóżku w moim pokoju. Rozmawialiśmy długo,ypytywała i upewniała się, że koszykówka jest moją prawdziwą pasją. Aż w końcu udało się – mój ostatni wróg w domu został przekonany! Wczoraj tata oznajmił, że wybieramy się na najbliższą olimpiadę dla takich jak ja – osobami z niepełnosprawnością, ma się ona odbyć ponoć w Tokio. To będzie tak zwana paraolimpiada. Alicja i Kamil, usłyszawszy o moim małym sukcesie w domu, cieszyli się razem ze mną. Przyjaciel podsunął mi wtedy pomysł: – Hej, a może napiszesz książkę? Wiesz, historia wielkiego przyszłego sportowca! Nie znam się zbyt na współczesnej prozie, wolę antyk i Homera, ale mogę spróbować ci pomóc.

I oto jedyny powód, dla którego teraz piszę, choć wcale nie mam pewności, czy to jest jakkolwiek zadane do czytania. Absolutnie nie nadaję się do pisania, w końcu jestem przyszłym koszykarzem, nie pisarzem! Nie mogę się doczekać, aż zacznę trenować w prawdziwym klubie w drużynie koszykarzy na wózkach. A potem? Kto wie? Może i olimpiada z moim udziałem? Czekajcie cierpliwie na ciąg dalszy! Wiem jedno – do wytrwałych świat należy! Tak, tak... Do odważnych też. Ale kto nie waha się konsekwentnie z uporem dążyć do obranego celu, ten musi być też odważny!

Dlatego i wam życzę tego uporów! Naprawdę warto spełniać swe marzenia. Mówię to ja – Dominik, już wkrótce Wielki Sportowiec.

Dominika Szmidt

Kartka z marzeniami

Jestem Dominika. Mam niespełna piętnaście lat, a za kilka miesięcy kończę ostatnią klasę szkoły podstawowej. Cała moja rodzina uwielbia sport, a każdy wolny dzień staramy się spędzić aktywnie. Największe sportowe pasje przejawiał mój kuzyn Jasiek. Od kiedy pamiętam, uwielbiał piłkę nożną, biegał w maratonach, uczestniczył w wielu szkolnych i klubowych zawodach sportowych. Niestety, poważnie zachorował, czego nikt się nie spodziewał. Któż mógłby przewidzieć, że ten młody, wysportowany chłopak będzie miał udar i stanie się osobą niepełnosprawną? Mnie też ciężko było w to uwierzyć, ale tak się stało. Jego stan był na tyle poważny, że obecnie Jasiek porusza się na wózku inwalidzkim. Mimo tego nie poddaje się i codziennie walczy o powrót do zdrowia. Dzięki rehabilitacji czyni ogromne postępy, jednak musi jeszcze włożyć wiele trudu, aby osiągnąć pełen sukces.

Podziwiam jego determinację również dlatego, że sama zmagam się z chorobą, chociaż nie tak poważną. Od dziecka walczę z astmą, ale staram się, by choroba nie zdominowała mojego życia i nie wpłynęła na moje wybory. Staram się być aktywną i brać przykład z moich starszych braci, dla których sport jest esencją ży-

cia. I chociaż nie mam tak spektakularnych osiągnięć, jak oni, to los sprawił, że i ja zapisałam się w rodzinnej kronice sportowych dokonań. Posłuchajcie, jak to się stało...

Był piękny, słoneczny, czerwcowy dzień. Temperatura na zewnątrz sięgała prawie trzydziestu stopni. Siedziałam na kanapie, czytając książkę i chłodząc się przy wiatraku. Niespodziewanie do salonu wbiegła mama. Gdy na nią spojrzałam, już wiedziałam, że ma dla mnie bardzo ważną informację.

– Dzwoniła ciocia Jola, twoja matka chrzestna – powiedziała z ekscytacją w głosie. – Zaprosiła całą naszą rodzinę na weekend!

Bardzo ucieszyła mnie ta wiadomość. Lubiałam ciocię Jolę, a poza tym dawno nie widziałam się z kuzynem Jasiem i chciałam go zobaczyć. Moi bracia również ucieszyli się z tej propozycji – wspólnie podjęliśmy decyzję, że przyjmujemy zaproszenie.

Następnego ranka wyruszyliśmy do Kołobrzegu. Rodzice, jak zawsze, całą drogę intensywnie dyskutowali, bracia ze słuchawkami na uszach wpatrywali się w ekran telefonów, podziwiając sportowe dokonania swoich idoli, a ja obserwowałam zmieniający się krajobraz za oknem.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu mamy. Zadzwoniła do nas ciocia, aby dopytać się, jak mija nam droga, i poinformować o niespodziance, którą dla mnie przygotowała. „Niespodzianka? Dla mnie?” – byłam bardzo podekscytowana, a mój humor wreszcie się poprawił. Długa jazda samochodem zwyczajnie mnie męczyła. Bezczyenne siedzenie na fotelu i podziwianie widoków nie leży w mojej naturze. Miałam wrażenie, że trasa ciągnęła się w nieskończoność, a z każdym kilometrem mojej energii ubywało. Byłam

skupiona już tylko na liczeniu drzew, które mijaliśmy co sekundę. Przy dwutysięcznym drzewie okazało się, że zostało nam tylko piętnaście kilometrów. Minęło kilka chwil i wreszcie zobaczyłam dom cici i ją samą czekającą na nas wszystkich w swoim ogrodzie. Zaprosiła nas do środka, poczęstowała świeżo upieczonym ciastem oraz gorącą herbatą. Tymczasem w mojej głowie wciąż pojawiały się nurtujące pytania: „Gdzie jest ta niespodzianka?!”, „Co miała na myśli ciocia?!”. W końcu ciocia Jola ucięła moja katusze.

– Dominiko, chodź ze mną – powiedziała i zabrała do jednego z pomieszczeń gospodarczych za domem. Gdy do niego weszłyśmy, zauważyłam, że w sporym kartonie leżała Sara – biskoptowy golden retriever mojej cici z gromadą małych szczeniąt.

– To jest ta niespodzianka, o której wspomniałam przez telefon. Wczoraj wieczorem Sara się oszczeniła, a ja obiecałam tobie kiedyś szczeniaczka, więc możesz sobie wybrać jednego, a odbierzesz go za kilka tygodni, gdy już będzie samodzielny. Na razie potrzebuje swojej mamy.

Na te słowa w moich oczach pojawiły się łzy radości. Od razu wskazałam na biskoptową włochatą kuleczkę. Teraz pozostał tylko jeden problem – jak przekonać rodziców do nowego domownika. Troje dzieci i pies? To trochę dużo jak na jedną rodzinę. Na szczęście ciocia powiedziała, że bierze to na siebie i postara się przekonać moich rodziców, aby zgodzili się na powiększenie rodziny. Gdy już miałam wrócić do rodziców i braci, moją uwagę zwrócił sportowy wózek inwalidzki.

– Czy on należy do Jaśka? – spytałam.

– Tak, wszystko zaraz wam opowiem – odpowiedziała ciocia.

Wróciłyśmy do reszty rodziny, która siedziała właśnie na schowanym w cieniu tarasie. Moi bracia z Jasiem pojechali na pobliską plażę, więc ciocia wykorzystwała ten czas, aby porozmawiać ze mną i moimi rodzicami.

– Jak wiecie, Jaś jest chory i potrzebuje pomocy – zaczęła. – Zawsze chciałam wystartować z nim w półmaratonie, niestety, moja choroba serca mi na to nie pozwalała. Rozmawiałam z lekarzem i chociaż bardzo go prosiłam, nie zgodził się na to... – tłumaczyła.

– Chciałabym, aby to Dominika pobiegła z Jasiem – powiedziała ciocia. – Wiem, że bardzo lubi sport, a Jaś za nią przepada. Jasiowi też bardzo na tym zależy – dodała.

Spojrzałam na rodziców. Widziałam, że się wahają. Z jednej strony na pewno pragnęli pomóc Jasiowi, z drugiej – nie chcieli narażać swojego zdrowia. Bieg miał się odbyć w okresie matur i egzaminów końcowych, więc moi starsi bracia nie mogli w nim wziąć udziału, by wspomóc kuzyna. Musieli skupić się w tym czasie na nauce.

– Nie chodzi o wygraną czy dobrą lokatę, najważniejszy jest sam udział. Janek nie będzie jedyną osobą, która wystartuje na wózku wraz z osobą towarzyszącą. W tych zawodach bierze udział wiele osób niepełnosprawnych – tłumaczyła ciocia.

– Zobaczmy, co da się zrobić. Co prawda astma Dominiki jest uśpiona, ale wolelibyśmy porozmawiać o tym pomyśle z lekarzem – powiedzieli spokojnie moi rodzice. Mieli rację, musiałam wstrzymać się z decyzją do czasu kwalifikacji lekarskiej.

* *

*

Weekend u cioci upłynął w miłej atmosferze, cieszyłam się, że mogę spędzić czas z Jasiem. Chodziliśmy na długie spacery i dużo rozmawialiśmy. Kiedy odjeżdżaliśmy do domu, pożegnaliśmy się w dobrych nastrojach. Podświadomie czułam, że opinia mojego lekarza będzie pozytywna i będę mogła wziąć udział w półmaratonie.

Kiedy dotarliśmy do domu, moja mama umówiła mnie na wizytę lekarską. Na szczęście udało się ją zorganizować bardzo szybko. Kiedy nastał dzień wizyty, nagle ogarnęło mnie zwątpienie. „A co jeśli lekarz nie wyrazi zgody? Jak ta decyzja wpłynie na samopoczucie Jasia? Przecież on tak kocha sport!” – myślałam.

Od rana nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Czekałam na mamę, odliczając minuty, aż wróci z pracy i wybierzemy się wspólnie do lekarza. Chciałam mieć już wszystko za sobą. Wreszcie wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do lekarza.

Po wejściu do gabinetu i zbadaniu mnie lekarz ogłosił swoją decyzję.

– Nie ma najmniejszej przeszkody, abyś wzięła udział w zawodach. Twoje wyniki są dobre, poza tym na co dzień uprawiasz sport i nie czujesz osłabienia – obwieścił.

Byłam taka szczęśliwa! Doktor z uśmiechem dodał, że trzyma za nas kciuki. Na wszelki wypadek wypisał receptę z kolejnymi lekami i pożegnał się z nami.

Kamień spadł mi z serca! Radość przepełniała moje serce, zwłaszcza że w drodze powrotnej wstąpiłyśmy z mamą do naszej ulubionej lodziarni. Zjadłyśmy sporą porcję lodów i kupiłyśmy litrowe opakowanie dla reszty rodziny. W domu czekał na nas już tata, który wrócił z pracy i pracował na podwórku. Usiedliśmy wszyscy na tarasie i zadzwoniliśmy do cioci z dobrymi infor-

macjami. Ciocia i Jaś bardzo ucieszyli się, że będę mogła razem z nim wystartować w zawodach.

– Chyba mamy do pogadania, panienko – niskim głosem powiedział do mnie tata, zając lody. Oczywiście chodziło o małą biszkoptową kuleczkę – szczeniaczka, którego obiecała mi chrzestna. Do tej pory rodzice trzymali mnie w niepewności i nie chcieli zdradzić, czy zgadzają się na nowego domownika. Jednak ich uśmiechnięte miny mówiły wszystko – już wkrótce nasza rodzina się powiększy! Tę wiadomość trzeba było świętować dodatkową porcją lodów...

* * *

W końcu nadszedł dzień półmaratonu. Sumiennie przygotowywałam się do niego przez prawie dwa miesiące, regularnie biegając i ćwicząc. Już w piątek, dzień wcześniej, wraz z rodzicami pojechaliśmy ponownie do Kołobrzegu. Pogoda była dla nas łaskawa. Popołudnie i wieczór spędziliśmy nad morzem, śmiejąc się i korzystając z każdej chwili. Następnego dnia obudziłam się zrelaksowana i pełna optymizmu. Z apetytem zjadłam zdrowe śniadanie, a później założyłam strój sportowy. Po chwili wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy na miejsce rozpoczęcia zawodów.

Gdy dotarliśmy na start, nagle zaczęłam się denerwować. Jasiek też miał niepewną minę i widać było, że jest równie mocno zdenerwowany. „Czy będę miała siły, żeby w ogóle dotrzeć z Jaśkiem na metę?” – zaczęłam wątpić w swoje możliwości. Zaraz jednak wyparłam te negatywne myśli, by zastąpić je pozytywnymi.

– Damy radę – powiedziałam do kuzyna i uśmiechnęłam się do niego najmocniej, jak potrafiłam. Ścisnęłam rączki jego wózka i w skupieniu oczekiwałam rozpoczęcia biegu.

W końcu usłyszałam głos sędziego:

– Na miejsca! Gotowi! START!

Zawodnicy ruszyli jak torpeda, ja jednak rozpoczęłam powoli, w równym tempie, oszczędzając siły na później. Jednak tempo zawodników było tak zaskakujące, że już po kilku minutach zastanawiałam się, czy jednak nie zmienić swojej taktyki. Wszyscy biegli jak stado pędzących rumaków, które jak najszybciej chce dotrzeć do mety. Zaczęłam więc przyspieszać. Wiedziałam, że nie mamy z Jaśkiem szans na podium, ale założyłam sobie, że na pewno nie będziemy ostatni. Postanowiłam dać z siebie wszystko.

Gdy znów miałam przyspieszyć, zobaczyłam, że ktoś stoi na poboczu i wygląda, jakby miał problem ze złapaniem tchu. Niestety, nikt się nie zatrzymywał. Widziałam, że nie mogę tak tego zostawić, więc zeszałam z trasy, chociaż wiedziałam, że oznacza to klęskę w naszych zawodach. Gdy spojrzałam na Jasia, wiedziałam jednak, że podjęłam dobrą decyzję. On sam widział, że ta osoba potrzebuje pomocy i ruchem ręki sygnalizował, żeby się zatrzymać.

– Wszystko w porządku? – spytałam chłopaka, który bezskutecznie próbował złapać oddech. Ten widok był mi trochę znajomy... Spojrzałam na jego dłonie, trzymał w nich jakąś kartkę. Szybko po nią sięgnęłam i przeczytałam napis: „Mam astmę, leki są w torbie”. Natychmiast wyciągnęłam z niej leki i pomogłam mu je zaaplikować. Po chwili nieznajomy uspokoił się i zaczął oddychać normalnie.

– Dziękuję – wyszeptał – Nie zatrzymujcie się, macie jeszcze szansę ukończyć bieg! – dodał i uśmiechnął się promiennie.

Kątem oka zobaczyłam, że w naszą stronę zbliża się dwóch ratowników medycznych, więc wiedziałam,

że chłopak nie zostanie sam. Chwyciłam wózek Jasia i wróciłam do biegu.

Biegłam najszybciej, jak mogłam, ale z każdym krokiem czułam, że mam coraz mniej sił. Kiedy myślałam, że już nie dam rady, nagle zobaczyłam metę. Ten widok dodał mi energii i dzięki temu udało mi się do niej dobiec. Co więcej, nie byliśmy z Jaśkiem ostatni! Szczęśliwa, ale i bardzo zmęczona usiadłam na ziemi z butelką wody, by wreszcie odpocząć. Wtedy dobiegła dla nas ciocia i moi rodzice. Wszyscy serdecznie mi gratulowali i podziwiali moją odwagę. Nie wygraliśmy biegu, nie byliśmy nawet w pierwszej połowie najlepszych zawodników, ale udało nam się dotrzeć na metę i, co najważniejsze, pomóc drugiej osobie. Nagle usłyszeliśmy dźwięk włączającego się mikrofonu – spojrzeliśmy na scenę, gdzie rozpoczęła się ceremonia rozdania nagród. Organizatorzy wręczali medale najlepszym zawodnikom, a widownia nagradzała ich wysiłkiem gromkimi brawami. Atmosfera była wspaniała i cieszyłam się, że mogłam być jej częścią. Nagle usłyszałam z ust prowadzącego swoje imię i nazwisko. Zostałam poproszona, aby wejść na scenę. Okazało się, że dostałam Order Odwagi w ramach uznania za grę *fair play* – udzielenie pomocy innemu zawodnikowi w trakcie biegu. Cała rodzina była ze mnie ogromnie dumna. Ja również byłam szczęśliwa, a cenniejszy od medalu była dla mnie uśmiech Jasia i jego spełnione marzenie.

Z zawodów przywiozłam jeszcze jedną nagrodę – kartkę, na której zapisana była prośba o podanie leków. Na jej drugiej stronie zawodnik, któremu udzieliłam pomocy, napisał „Dziękuję”. Kartkę mam do tej pory, przypomina mi, że ważniejsze od nagród jest po prostu człowieczeństwo. Gdy na nią patrzę, marzę, żeby nikt o tym nie zapomniał.

Rozalia Wojtowicz

Dyscyplina, pasja i cierpienie

Podczas lekcji języka polskiego klasa dyskutowała o zmaganiach sportowych, o walce z własnymi słabościami i lękami, o wytrwałości, poświęceniu i wyrzeczeniach, jakie się z tym wiąże. W pewnym momencie, gdy Rozalka włączyła się do rozmowy, dziewczyny stwierdziły, że ona nie ma zielonego pojęcia o tym, jak to jest, bo nie jest w grupie lekkoatletycznej. Rozalce zrobiło się wtedy bardzo przykro.

Polonistka, chcąc wykorzystać zainteresowanie uczniów tematem, kazała im napisać opowiadanie o wybranym polskim sportowcu, którego można nazwać herosem sportu. Rozalka od razu wiedziała, o kim napisze. Następnego dnia, gdy była lekcja polskiego, nie mogła się doczekać, kiedy przeczyta swoje opowiadanie. Była ciekawa reakcji pani i uczniów. Gdy przyszła jej kolej, wstała z ławki, stanęła przed klasą i zaczęła czytać.

Gdzieś na obrzeżach Sandomierza codziennie szedł w stronę szkolnego boiska młody chłopiec. Jego chód był jakiś dziwny, chwiejny. Idąc, wykonywał nieskoordynowane ruchy. Chodził tak jakoś ciężko i koślawo, ale na boisku stawał się zwinny i silny jak lampart. Tym chłopcem był

Karol Bielecki. Koledzy nazywali go Kola. Boisko szkolne było dla niego najważniejszym miejscem. To było jego królestwo. Tam zapominał o całym Bożym świecie. Był zakochany w piłce nożnej. Grając, marzył, że zostanie kiedyś napastnikiem. W piątej klasie szkoły podstawowej w szybkim tempie urosł kilkanaście centymetrów. Był bardzo wysoki jak na swój wiek.

Pewnego dnia podszedł do Karola nauczyciel wychowania fizycznego Ryszard Kiliański i powiedział:

– Wiesz co, Karolu, może przyszedłbyś na trening piłki ręcznej?

Karol się zgodził i tak trafił do zespołu o specjalności piłki ręcznej, założonego przez Ryszarda Kiliańskiego i Mieczysława Gospodarczyka.

Gospodarczyk widział w tym młodym chłopcu ogromny potencjał. Patrzył na mocną budowę jego ciała, na duże dłonie, długie mięśnie i stwierdził, że Karol jeszcze bardziej urośnie. Nie mylił się. Karol rzeczywiście urosł, nabrał masy mięśniowej i siły. Chłopiec sumiennie trenował, chociaż miał chwile zwątpienia. Na początku nie mógł się odnaleźć w piłce ręcznej. Ciągłe myślami wracał do gry w piłkę nożną. Pewnego dnia, gdy zszedł z boiska, podszedł ze spuszczoną głową do Kiliańskiego i zrezygnowanym głosem stwierdził:

– Trenerze, mnie się ta piłka ręczna wcale nie podoba.

Jednak trener nie dawał za wygraną. Starał się w Karolu rozbudzić miłość do ręcznej tak, aby stała się jego życiową pasją. Widział w tym chłopcu materiał na wybitnego zawodnika. Zachwycał się jego wyjątkową sprawnością fizyczną, jego niesamowitą parą w rękach i silnym rzutem piłką. Gdy Karol kolejny raz wspomniął, że nie widzi się w piłce ręcznej, wtedy podszedł do niego Jerzy Gach (kierownik drużyny młodzików) i bardzo długo z nim rozmawiał. Od tej rozmowy Kola już nigdy nie wspomniął, że

nie chce grać w ręczną. Konsekwencja trenera się opłaciła. Karol małymi krokami, powoli zakochiwał się w ręcznej.

W 1997 roku Szkoła Mistrzostwa Sportowego w Gdańsku ogłosiła nabór. Karol, pełen nadziei, pojechał na kilkudniowy sprawdzian. To miał być trening z najlepszymi w swoim roczniku zawodnikami. Niestety, nie został przyjęty, co bardzo go zasmuciło. Był zawiedziony. Jeden ze szkoleniowców powiedział, że Karol jest za chudy, a inny stwierdził, że z niego to nic nie będzie. Trener pocieszał rozżalonego Karola, mówiąc:

– Karolu, nie przejmuj się. Uwierz mi, to ich największa życiowa pomyłka.

– Trenerze, ja jechałem tam z ogromnymi nadziejami – powiedział z goryczą Kola.

– Chłopie, zrozum, że ty masz niesamowitą siłę rzutu. Tak naprawdę masz armatę w dłoni! Zobaczysz, jeszcze o tobie usłyszysz! Jeszcze im pokażesz, na co cię stać! – wykrzyczał wzruszony Kiliański.

Karol nie poddał się. Dalej trenował, dążąc do perfekcji. Był zdeterminowany. W tym samym roku trener zgłosił go do drugoligowych rozgrywek jako zawodnika Wisły Sandomierz. Był wtedy najmłodszym piłkarzem ręcznym w seniorskich zawodach. Jego kariera nabierała tempa. Pilnie trenował, choć nieraz to wymagało ogromnego wysiłku i samozaparcia.

Gdy skończył podstawówkę, został uczniem Zespołu Szkół Budownictwa. Tam jego wuefistą został Mieczysław Gospodarczyk – trener Wisły. Pod jego opieką zespół Karola w 1998 roku zdobył mistrzostwo Polski. Karol podczas meczu odznaczał się szczególną zwinnością i skocznością. To był żywy, dziarski zawodnik. Potem przyszły kolejne zwycięstwa. Już wtedy wzbudził zainteresowanie Marka Adamczaka, działacza sportowego Iskra Kielce, który pewnego dnia przyjechał do Karola. Chłopiec był tą wi-

zytą podekscytowany. Adamczak postawił mu krótkie pytanie:

– Karolu, czy chcesz grać w Iskrze Kielce?

– Ależ oczywiście i to bardzo – odpowiedział uradowany Karol.

– No, to się pakuj, młodzieńcze – odpowiedział działacz.

Marzenia Karola się spełniały. W 1999 roku został zawodnikiem Iskry Kielce. Jednak jego mama miała wątpliwości, czy Karol sobie sam poradzi. Miał dopiero 17 lat. Wtedy Adamczak obiecał matce Karola:

– Niech się pani nie martwi, ja się nim zajmę. Zobaczysz pani, on kiedyś zostanie wielkim sportowcem.

– Dobrze, oddaję go w pańskie ręce. Nie będę mu stać na drodze do kariery.

Adamczak był jak ojciec dla Karola. Starał się wywiązać z obietnicy, którą dał jego matce. Dbał, aby nie był głodny, sprawdzał, czy ma odrobione lekcje. I tak Karol zaczął już tak na serio karierę sportową. Od tej chwili każdy dzień wypełniała mu nieustanna, ciężka, mozolna praca. Walczył z własnymi słabościami i ze zmęczeniem. Trenował go Giennadij Kamielin, który widział, że Kola ma mocny charakter. Treningi były wręcz katorżnicze. Trzeba było intensywnie pracować nad wytrzymałością, techniką i sprawnością fizyczną. To nie były dwie czy trzy godziny dziennie treningu, tylko wiele godzin żmudnych ćwiczeń wykonywanych do granic wytrzymałości.

Pewnego razu Adamczak wszedł do hali, gdzie trenował Karol. W oddali zobaczył dwie postacie i usłyszał trenera Kamielina, który stanowczym głosem, cierpliwie wiele razy powtarzał:

– Skocz i rzuć, skocz i rzuć, skocz i rzuć...

Trener i Karol byli zawzięci. Czasami jedno ćwiczenie powtarzali przez kilka godzin. A Karol za każdym

razem chwytając piłkę i, wyskakując, wrzucał ją do bramki. To był bardzo pracowity chłopiec, aż do granic możliwości. Był wojownikiem, który konsekwentnie dążył do obranego celu. Miał pięć treningów w tygodniu. Ten zapał, upór i zaangażowanie opłaciły się.

Gdy miał niespełna 18 lat, zadebiutował w ekstraklasie i Lidze Mistrzów. Kariera Bieleckiego zaczęła się rozwijać w niesamowitym tempie. W 2001 roku został z Iskrą mistrzem Polski juniorów, a w 2003 roku zdobył złoto seniorskich mistrzostw kraju. Został młodzieżowym mistrzem Europy.

Aż w końcu, mając 22 lata, został zawodnikiem Magdeburga, gdzie stał się gwiazdą piłki ręcznej. Od tej chwili jego kariera sportowa rozwijała się w zawrotnym tempie. W grudniu 2007 roku trafił do Rhein-Neckar Löwen. Karol sam był zaskoczony, że to tak szybko się potoczyło, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że to wszystko zawdzięcza ciężkim, wręcz morderczym treningom. Potrafił rzucać bardzo mocno. Był w stanie nadać piłce prędkość ponad 120 kilometrów na godzinę i celnie trafić do bramki, co nie wszystkim się udawało. Rzucał tak, że bramkarz nie zdążył nawet zareagować. Niestety, ta zawrotna kariera została przerwana.

11 czerwca 2010 roku reprezentacja Polski miała zagrać w Kielcach mecz towarzyski z Chorwacją. Karol pełen sił przyjechał do Polski. Wszystko się dobrze układało. Był gotów na kolejne zwycięstwo. Nic nie zapowiadało tragedii. Rozpoczął się mecz. Trwała 10. minuta zmagania na parkiecie boiska. Podczas zaciętej walki Karol próbował zablokować strzał skrzydłowego Josipa Valcicia. Wyskoczył bardzo wysoko, odbił się od Valcicia, gdy nagle poczuł ogromny ból. Padł na parkiet jak długi. Potem uklęknął, zakrywając twarz dłońmi. Widać było, że bardzo cierpi. Nie mógł otworzyć lewego oka. Całą twarz miał

we krwi. Nagle poczuł w dłoniach dziwną maź. Czuł, że to coś poważnego. Zdawał sobie sprawę z tego, że to nie jest tylko pęknięty łuk brwiowy. Nic nie widział lewym okiem. W pewnym momencie ktoś krzyknął:

– Karol nie ma oka!

To był dla niego szok. Natychmiast został przetransportowany do szpitala w Kielcach. Tam zemdlał, gdy usłyszał od lekarzy, że brakuje siedmiu części oka. Wtedy zdał sobie sprawę, że jest bardzo źle. Potem przetransportowano go do kliniki okulistycznej w Lublinie. Po operacji okazało się, że oko reaguje na promienie słoneczne. Pojawiła się iskra nadziei. Następnie po trzech dniach był kolejny zabieg w klinice w niemieckiej Tybindze. Wszyscy modlili się o zdrowie Koli. On sam podchodził z ogromnym spokojem do tego, co się wydarzyło. Wszystkim tłumaczył:

– Albo się uda i będę miał oko, albo się nie uda. Zaakceptuję to, co życie przyniesie.

Niestety mimo starań lekarzy, oka nie udało się uratować. Lekarze orzekli, że nie ma szans na odbudowanie pękniętej gałki ocznej. Bielecki był opanowany, w przeciwieństwie do tych, którzy zaszczepili w nim miłość do ręcznej. Kilianowski zadzwonił do Karola:

– Karolu, przepraszam cię. Gdybym cię nie namówił na ręczną, to nigdy by się to nie wydarzyło... – wyszeptał do słuchawki.

– Trenerze, wszystko będzie dobrze. Niech pan się nie martwi – pocieszał go Karol.

U szczytu kariery, kiedy wydawało się, że może osiągnąć wszystko, o czym marzy każdy sportowiec, stracił oko. Miał dopiero 28 lat. Niestety, słowa lekarza, który się nim opiekował, brzmiały jak wyrok:

– Panie Bielecki, pan już nigdy nie zagra.

Tysiące myśli kłębiło się mu w głowie. I co teraz, i co dalej. Mówił sobie: „Przecież moje życie to ręczna”. W końcu

musiał zmierzyć się z rzeczywistością. Zaczął szukać plusów całej sytuacji. Pomyślał, że w końcu będzie miał więcej czasu dla siebie, najbliższych i znajomych. Przecież tak naprawdę jest zdrowy, tyle że bez jednego oka. I podjął bolesną decyzję. 18 czerwca 2010 roku Karol ogłosił, że kończy karierę sportową. Mimo wszystko nie tracił optymizmu. W jednym z wywiadów powiedział:

– Będę musiał nauczyć się żyć inaczej, robić coś innego. Poradzę sobie. Przecież to tylko oko.

Zanim Karol na dobre pożegnał się z ręką, najpierw zaczął tak na poważnie myśleć o tym, co mógłby robić przez kolejnych dwadzieścia, trzydzieści lat życia. Jakosć nic mu nie przychodziło do głowy. I wtedy postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby mógł wrócić do sportu. Pojechał do Heidelbergu w poszukiwaniu diagnozy dającej choć cień szansy na powrót na parkiet boiska. Jak wielka była jego radość, gdy usłyszał opinię tamtejszego lekarza:

– Jeśli ma pan ochotę, to może pan wrócić do treningów. Nie mam żadnych przeciwwskazań.

Karol był oszołomiony. Pomyślał: „Jeszcze nie wszystko stracone. Mogę spróbować wrócić do gry”. Za namową lekarza postanowił poddać się intensywnej rehabilitacji. Zaczęły się żmudne, nieustanne ćwiczenia. Zajęcia rehabilitacyjne były dwa razy dziennie. Rehabilitantka wymyślała mnóstwo ćwiczeń poprawiających spostrzegawczość Karola. Pracował nad koordynacją i stabilizacją, chwytając różne piłki: małe, duże, ciężkie i lekkie. Małymi krokami brnął do przodu, ciesząc się z najmniejszych sukcesów, z tego, że udało mu się złapać piłkę, że bez problemu przebiegł sto metrów. Było w nim wiele samozaparcia i samodyscypliny.

W końcu, po miesiącu, Kola wrócił na treningi. Otrzymał ochronne okulary. Bał się, jak zostanie przyjęty. Nie

chciał litości, dlatego stanąwszy przed trenerem i kolegami z drużyny, z powagą w głosie powiedział:

– Słuchajcie, nie chcę mieć żadnej taryfy ulgowej. Umowa jest prosta. Chcę spróbować zagrać, chcę zobaczyć, czy dam radę czy nie.

– Oczywiście. Wiesz, że możesz na nas liczyć – wyrzucił z siebie trener, powstrzymując łzy.

– Zrozumcie, gdybym nie spróbował, nie darowałbym sobie tego do końca życia. Uwierzcie mi, dam z siebie wszystko – Karol kontynuował drżącym głosem, patrząc kolegom w oczy.

Pierwszy trening był bardzo stresujący. Bez jednego oka świat się postrzega całkiem inaczej. Z całego serca pragnął, żeby wszystko wyszło dobrze, bo nikogo nie chciał zawieść. Jednak to nie było takie proste. Najłatwiejsze zagrania były dla niego bardzo trudne do wykonania. Miał ograniczone pole widzenia. Nie widział skrzydłowego, biegł przed siebie, ufając, że on tam właśnie jest, ale żeby mieć pewność, musiał się odwrócić. Jego pole widzenia było wielką niewiadomą. A tu trzeba jeszcze dokonać rzutu na bramkę. Jednak się nie poddawał. Myślał sobie: „Chłopie, dasz radę, kto, jak nie ty?”. Upadał i powstawał, wzbudzając podziw kolegów. Krok po kroku robił postępy i wracał do normalności.

22 lipca 2010 roku pierwszy raz po kontuzji wystąpił w sparingowym meczu, w którym rzucił jedną bramkę. Wszyscy podziwiali go za hart ducha. Nadszedł pierwszy mecz Bundesligi 31 sierpnia 2010 roku. Karol bardzo mocno go przeżywał. Cały mecz miał przeanalizowany w głowie. Aż w końcu wszedł na parkiet i dał popis mistrzowskiej gry. Nabiegał, łapał piłkę i rzucał z ogromną siłą w bramkę. Strzelił aż jedenastkę bramek. Miał w sobie ogień, którego nie chciał zgasić. Został ogłoszony najlepszym zawodnikiem na boisku. Gdy Kola wszedł do szatni,

rozkleił się totalnie. Oszołomiony zrozumiał, że wszystko jest możliwe, jeśli się tego naprawdę bardzo mocno pragnie. Koledzy mu gratulowali:

– Kola, zrobiłeś to! Jesteś wielki! – krzyczeli podekscytowani.

Karol wrócił też do reprezentacji Polski na mistrzostwa. 28 października 2010 roku zagrał pierwszy mecz w reprezentacji od czasu utraty oka. Rzucił tylko jedną bramkę, ale miał świadomość tego, że przecież przed kontuzją też miał gorsze i lepsze mecze, że nie można zawsze wygrywać. Upadki i wzloty to normalna rzecz w życiu sportowca. Wiedział, że nie powinien przejmować się gorszym występem.

Uwieńczeniem jego ciężkiej pracy były olimpijskie zmagania w Rio de Janeiro w sierpniu 2016 roku. Karol pełnił funkcję chorążego polskiej reprezentacji olimpijskiej podczas ceremonii otwarcia igrzysk. Czuł ogromną dumę. To on, broniąc biało-czerwonych barw, stracił zdrowie, to on przezwyciężył własne słabości i pokazał, że jest twardy. Poprowadził reprezentację Polski do półfinału igrzysk olimpijskich. Jako lewy rozgrywający rzucił 33 bramki. Został ogłoszony jednym z najlepszych piłkarzy ręcznych na świecie.

Dwa lata później w maju 2018 roku Karol oficjalnie zakończył karierę sportową. Odchodził z podniesioną głową. Swoją postawą pokazał wszystkim, że jest bardzo mocnym psychicznie człowiekiem, zdolnym do poświęceń i wyrzeczeń. Udowodnił, że jeśli się czegoś mocno pragnie i dąży do obranego celu, to tak naprawdę wszystko jest możliwe. Dzięki pracowitości, nieustępliwości, sumienności i wytrwałości osiągnął życiowy sukces, a po wypadku wrócił na najwyższy poziom sportowych możliwości. Stał się herosem sportu, którego ukształtowały dyscyplina, pasja i cierpienie.

Rozalka skończyła czytać, popatrzyła na klasę i rzekła: – Wielu z was się wydaje, że ja nie mam pojęcia o przekraczaniu własnych możliwości. I tutaj się mylicie. Napisałam o Karolu Bieleckim, bo mam coś z nim wspólnego.

Wtedy zaczęła opowiadać o diagnozie lekarzy, gdy była małym dzieckiem – śladowe porażenie mózgowe. Mówiła o wielu godzinach rehabilitacji, walce o każdy krok, cierpieniu i płaczu podczas zmudnych ćwiczeń powtarzanych każdego dnia przez kilka lat. Na koniec stwierdziła, że gdyby nie upór rodziców oraz jej wytrwałość i dyscyplina przy wykonywaniu zleconych ćwiczeń (wtedy, gdy już była starsza), nie wiadomo, czy osiągnęłaby w pełni sprawność fizyczną. Powiedziała, że jest przykładem na to, że jeśli się czegoś naprawdę pragnie, to można to osiągnąć ciężką i systematyczną pracą.

Gdy Rozalka skończyła, pani polonistka powiedziała:

– Rozalko, uważam, że tak jak Karol Bielecki możesz chodzić z podniesioną głową, niczego nie musisz się wstydić. Myślę, że ty też jesteś herosem walki o swoje zdrowie.



Popiersie Jana Parandowskiego –
rzeźba Alfonsa Karnego z 1954 roku

KONKURS IM. JANA PARANDOWSKIEGO

jedyny nieokazjonalny konkurs dla młodzieży
na opowiadania o najdłuższej tradycji
we współczesnej kulturze olimpijskiej

JAN PARANDOWSKI – pisarz, eseista i tłumacz literatury

Brązowy medal olimpijski przyznany Janowi Parandowskiemu za *Dysk olimpijski* (w doskonałym przekładzie niemieckim Jana Pawła Kaczkowskiego) przez jury Międzynarodowego Konkursu Sztuki podczas Igrzysk XI Olimpiady w Berlinie w 1936 roku związało go nierozzerwalnie z Polskim Komitetem Olimpijskim. Świadczą o tym choćby słowa pisarza wypowiedziane wiele lat później podczas jednego ze spotkań w Klubie Olimpijczyka... *Moja książka dała mi prawo wstępu do świata sportowego, świata wielkiej przygody. I to jest moją największą nagrodą.*

Jarosław Iwaszkiewicz 30 września 1978 r. żegnał Jana Parandowskiego następującymi słowami: *O Parandowskim mówiono, że piękno świata ustępuje przed pięknem Jego słowa. Stawiano to jako zarzut, chyląc równocześnie czoło. Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia*

choćby tego zdania Jana Parandowskiego opiewającego trzciny papirusów: „Najistotniejsze natchnienia ludzkości przechowywano we włóknach tej cudownej trawy. Z jej wątych ścięgien uczyniono trwałe skrzydła, na których myśl starożytna przeleciała przez pogorzelisko wieków”. Takim językiem pisał Parandowski swoje dzieła: „Dwie wiosny”, „Mój Rzym”, „Dysk olimpijski”, „Króla życia”, „Petrarkę”, „Mitologię” i klasyczny dramat „Medea”.

Jedenaste lat później Polski Komitet Olimpijski przystąpił do organizacji pierwszego konkursu im. Jana Parandowskiego. Następne dwa zorganizowano w cyklach dwuletnich, od 1994 roku do chwili obecnej konkursy odbywają się corocznie.

Konkurs im. Jana Parandowskiego w 2009 roku uznany został przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski za jedną z 20 najlepszych inicjatyw edukacyjnych realizowanych przez narodowe komitety olimpijskie na świecie.

Rekordowe pod względem liczby zgłaszanych do konkursu opowiadań były lata: 2001 (1098 opowiadań), 2002 (1407 opowiadań), 2003 (1191 opowiadań) i 2004 (1377 opowiadań).

W 2020 roku, mimo utrudnień wynikających z epidemii COVID-19, do konkursu zgłoszono 292 opowiadania, w tym w kategorii klas IV–VI – 95 opowiadań z 46 miejscowości, w kategorii klas VII–VIII – 97 opowiadań z 49 miejscowości w Polsce. Wyboru laureatów konkursu dokonało jury w składzie:

- doc. dr Krzysztof Zuchora – przewodniczący jury – wykładowca Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, poeta, członek Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl
- Jadwiga Pawlak – polonistka

- dr Zofia Czernicka – dziennikarka i prezenterka telewizyjna, członkini Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl
- Magdalena Janicka – dziennikarka, członkini Komisji Sportu Kobiet PKOl
- Renata Susała – dziennikarka sportowa Polskiego Radia – Program I, członkini Klubu Fair Play i Komisji Sportu Kobiet PKOl.

Do roku 2006 Konkurs odbywał się przy współpracy Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu, w 2007 roku – Ministerstwa Edukacji Narodowej, a w latach 2009–2016 przy wsparciu finansowym Ministerstwa Sportu i Turystyki. Od roku 2018 Konkurs odbywa się pod honorowym patronatem Ministra Edukacji Narodowej.

Wyniki konkursu prezentują:

- *Magazyn Olimpijski*
- *Quo vadis?* (kwartalnik artystyczny i naukowy)
- Polskie Radio program I
- www.olimpijski.pl

Od roku 2001 opowiadania laureatów wydawane są w formie książkowej.

1. *Serce stadionu* – 11. Konkurs (2001)
2. *Prawda stadionu* (2002)
3. *Światło stadionu* (2003)
4. *Radość stadionu* (2004)
5. *Stadiony nadziei* (2005)
6. *Stadiony marzeń* (2006)
7. *Stadiony wyobraźni* (2007)
8. *Stadiony w słońcu* (2008)
9. *Stadion ze słów* (2009)

10. *Siła marzeń* (2010)
11. *Na skrzydłach marzeń* (2011)
12. *Spełnione marzenia* (2012)
13. *Rezerwowa* (2013)
14. *Radość biegania* (2014)
15. *Sztafeta pokoleń* (2015)
16. *Jesteśmy jedną drużyną* (2016)
17. *Dogonić siebie* (2017)
18. *Sport nie zna granic* (2018)
19. *Mierzymy wysoko* – w stulecie Polskiego Komitetu Olimpijskiego (2019)
20. *Gramy o przyszłość* (2020).

Od roku 2014 książki mają swoje miejsce na www.olimpijski.pl w zakładce – *Wydawnictwa*.

Konkurs zapewne nie budziłby tak szerokiego zainteresowania młodzieży, gdyby nie grono jego wieloletnich przyjaciół: **Renata Susańko** – dziennikarka sportowa Polskiego Radia (Program I) – juror konkursu od 1991 roku; doc. dr **Krzysztof Zuchora** – nauczyciel akademicki, poeta, etyk, członek Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl – juror od 1995 roku, a od 1996 roku przewodniczący jury konkursu, prowadzący uroczystość wręczania nagród laureatom konkursu; **Magdalena Janicka** – dziennikarka, jurorka od 1995 roku; **Tadeusz Rożej** – przedstawiciel Ministerstwa Sportu i Turystyki do 2014, juror od 2003 do 2018 roku; **Teresa Prusinowska** – polonistka czytająca dokładnie wszystkie opowiadania zgłaszane do konkursu w latach 1996–2010; **Jadwiga Pawlak** – jurorka dokonująca pierwszej selekcji prac, polonistka czytająca wszystkie opowiadania od 2011 roku; dr **Zofia Czernicka**, jurorka, która dołączyła do nas w roku 2018 – dziennikarka i prezenterka telewizyjna, człon-

kini Komisji Kultury i Edukacji Olimpijskiej PKOl, i **Magdalena Rejf** – organizatorka konkursu z ramienia PKOl – od 1995 roku.

Poprzez uczestnictwo w konkursie młodzież szkolna rozwija swoje sportowe zamiłowania, poszerza wiedzę na temat igrzysk olimpijskich i szeroko rozumianego sportu, przenosząc zachowania, emocje, postawy ze sportowego świata do własnego otoczenia, własnego życia. Opowiadania młodzieży pokazują i rozwijają jej potrzeby uczciwej rywalizacji, *fair play*, szacunku dla przeciwnika, niepełnosprawności, zachowania godności w przypadku przegranej, dezaprobaty wobec rasizmu, dopingu i nieuczciwej rywalizacji, uznania dla wysiłku, siły woli, przyjaźni i wspólnoty z innymi ludźmi.

Magdalena Rejf

LAUREACI 2020

Uczniowie szkół podstawowych – klasy IV–VI

JAKUB CIESIELSKI, kl. VI – *Dzień, w którym pokochałem judo*

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi
nr 82 im. Jana Pawła II
ul. Górczewska 201, 01-459 Warszawa
opiekunka literacka – Ewa Ostroch

TYMON GOTOWICZ, kl. VI – *Fascynujące regaty*
Szkoła Podstawowa im. Mariana Rejewskiego
ul. Centralna 27, 86-005 Białe Błota
opiekunka literacka – Dorota Lipińska

NINA GRZELAK, kl. V – *Mój wielki bohater*
Szkoła Podstawowa nr 1 im. Władysława Reymonta
ul. Kościuszki 14, 98-200 Sieradz
opiekun literacki – Maciej Rataj

FRANCISZEK KOTKIEWICZ, kl. V – *Gram całym sercem
– moja droga do celu*
Szkoła Podstawowa nr 109 im. Batalionów Chłopskich,
ul. Przygodna 2, 03-991 Warszawa
opiekunka literacka – Katarzyna Strzelczyk

MILENA MACKUN, kl. VI – *Sport dla każdego*
Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi
nr 82 im. Jana Pawła II
ul. Górczewska 201, 01-459 Warszawa
opiekunka literacka – Ewa Ostroch

AMELIA MAJCZAK, kl. VI – *Taniec jest ukrytym językiem duszy...*

Szkoła Podstawowa nr 31 im. Orła Białego
ul. PCK 18, 42-218 Częstochowa
opiekunka literacka – Grażyna Bich

ŁUCJA SZCZEPAŃSKA, kl. VI – *Goniąc marzenia*
Szkoła Podstawowa im. Polskich Olimpijczyków
ul. Mieszczańska 2, 72-210 Dobra
opiekunka literacka – Paulina Zaklukiewicz

LENA URBANIAK, kl. VI – *Od miłości do koni po zwycięstwo olimpijskie*
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9 im. Henryka Sienkiewicza,
ul. Rolna 65, 97-500 Radomsko
opiekunka literacka – Katarzyna Cichońska-Magiera

Opiekunowie literaccy laureatów kl. IV–VI

EWA OSTROUCH – Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 82 im. Jana Pawła II,
ul. Górczewska 201, 01-459 Warszawa

MACIEJ RATAJ – Szkoła Podstawowa nr 1 im. Władysława Reymonta,
ul. Kościuszki 14, 98-200 Sieradz

PAULINA ZAKLUKIEWICZ – Szkoła Podstawowa im. Polskich Olimpijczyków,
ul. Mieszczańska 2, 72-210 Dobra

Uczniowie szkół podstawowych – klasy VII–VIII

ZOFIA ARTYMIAK, kl. VIII – *Ikar o czterech kopytach*
Szkoła Podstawowa nr 51
ul. Bursztynowa 22, 20-576 Lublin
opiekunka literacka – Agnieszka Maj

BARTŁOMIEJ KLAMUT, kl. VIII – *Hyniohunik – dalsze losy małego chłopca*
Szkoła Podstawowa nr 14 z Oddziałami Sportowymi i Integracyjnymi im. Polskich Olimpijczyków
ul. Wojska Polskiego 45, 38-400 Krosno
opiekunka literacka – Anna Antoniuk

KINGA KRAWIEC, kl. VIII – *Być jak Motylia...!*
Szkoła Podstawowa nr 2 im. Batalionów Chłopskich
ul. Olkuska 316, 32-045 Sułoszowa
opiekunka literacka – Irena Wojtowicz-Dzień

MAKSYMILIAN KULIG, kl. VIII – *Mecz o przyszłość*
Szkoła Podstawowa nr 14 z Oddziałami Sportowymi i Integracyjnymi im. Polskich Olimpijczyków
ul. Wojska Polskiego 45, 38-400 Krosno
opiekun literacki – Anna Antoniuk

MARTA OBRĘBSKA, kl. VIII – *Biegnij, Karola, biegnij!*
Szkoła Podstawowa Mistrzostwa Sportowego Marcina Gortata, ul. Rzgowska 17a, 93-248 Łódź
opiekunka literacka – Justyna Johanowicz

KINGA PIETERWAS, kl. VII – *O czym szumią stadiony*
Szkoła Podstawowa nr 3 im. Jana Pawła II
ul. Pardyaka 26, 32-400 Myślenice
opiekunka literacka – Elżbieta Marcowska

KAROLINA STEFANIAK, kl. VIII – *Marzenie na kółkach*
Szkoła Podstawowa nr 10 im. Marii Konopnickiej
ul. Pływacka 16, 05-800 Pruszków
opiekunka literacka – Agnieszka Wierzbowska

DOMINIKA SZMIDT, kl. VIII – *Kartka z marzeniami*
Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej w Nowej Wsi, ul. Grudziądzka 43, 86-300 Grudziądz
opiekunka literacka – Anna Witkowiak

ROZALIA WOJTOWICZ, kl. VIII – *Dyscyplina, pasja i cierpienie*
Szkoła Podstawowa nr 2 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, ul. Żołnierzy Września 1
22-600 Tomaszów Lubelski
opiekunka literacka – Anna Wolczyk

Opiekunki literackie laureatów kl. VII–VIII

ELŻBIETA MARCOWSKA – Szkoła Podstawowa nr 3 im. Jana Pawła II, ul. Pardyaka 26, 32-400 Myślenice

AGNIESZKA MAJ – Szkoła Podstawowa nr 51, ul. Bursztynowa 22, 20-576 Lublin

JUSTYNA JOHANOWICZ – Szkoła Podstawowa Mistrzostwa Sportowego Marcina Gortata, ul. Rzgowska 17a, 93-248 Łódź

Spis treści

<i>O czym szumią stadiony</i>	
Krzysztof Zuchora	5

LAUREACI

UCZNIOWIE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH	
KLAS IV–VI	9
Jakub Ciesielski – <i>Dzień, w którym pokochałem judo</i> . .	19
Tymon Gotowicz – <i>Fascynujące regaty</i>	24
Nina Grzelak – <i>Mój wielki bohater</i>	32
Franciszek Kotkiewicz – <i>Gram całym sercem – moja</i> <i>droga do celu</i>	37
Milena Mackun – <i>Sport dla każdego</i>	42
Amelia Majczak – <i>Taniec jest ukrytym językiem duszy...</i>	49
Łucja Szczepańska – <i>Goniąc marzenia</i>	54
Lena Urbaniak – <i>Od miłości do koni po zwycięstwo</i> <i>olimpijskie</i>	61

LAUREACI

UCZNIOWIE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH	
KLAS VII–VIII	67
Zofia Artymiak – <i>Ikar o czterech kopytach</i>	79
Bartłomiej Klamut – <i>Hyniohunik – dalsze losy małego</i> <i>chłopca</i>	89

Kinga Krawiec – <i>Być jak Motylia...!</i>	99
Maksymilian Kulig – <i>Mecz o przyszłość</i>	108
Marta Obrębska – <i>Biegnij! Karola, biegnij!</i>	116
Kinga Pieterwas – <i>O czym szumią stadiony</i>	121
Karolina Stefaniak – <i>Marzenie na kółkach</i>	126
Dominika Szmidt – <i>Kartka z marzeniami</i>	136
Rozalia Wojtowicz – <i>Dyscyplina, pasja i cierpienie</i> . . .	144

Konkurs im. Jana Parandowskiego	
<i>Magdalena Rejff</i>	155

Laureaci 2020	160
-------------------------	-----



Sponsorzy Polskiego Ruchu Olimpijskiego



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji Olimpijskiej



Główny Partner Medyczny



Oficjalny Przewoźnik



Partnerzy PKOl



Partnerzy Medialni PKOl



Partner Młodzieżowej Reprezentacji

MOJA TWOJA NĄSZA



Studio
E!e!

ISBN 978-83-955370-5-9



9 788395 537059